CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 16 Kwietnia 1939 R. NR 13-14

Między pokojem a wojną

Pogotowie zbrojne Europy trwa nadal, przybierając stopniowo na sile. We wszystkich państwach, zarówno wielkich, jak małych, odbywa się mobilizacja sił i środków. Stan, który przeżywamy obecnie, nie jest wprawdzie wojną, jednakże nie jest już również i pokojem. Jest to stan pośredni.

Stan taki wiecznie trwać nie może. Okres przebywania wśród nagromadzonych i niczym niezabezpieczonych przewodów o niezmiernie wysokim napięciu może trwać nawet bardzo długo, jednakże w pewnym momencie musi albo nastąpić wyładowanie, albo rozpocząć się częściowe rozładowywanie nadmiaru nagromadzonej energii. Jednym słowem czeka nas albo wojna, albo stopniowe przechodzenie do warunków o mniej widocznej nienormalności, co jednak również niekoniecznie musi być równoznaczne z wytworzeniem warunków istotnej pewności, bezpieczeństwa i pokoju.

Z tych dwóch ewentualności jesteśmy dzisiaj, jasno to raczej powiedzieć należy, przynajmniej psychicznie, jeśli nie materialnie, lepiej przygotowani do wojny. Wojna stwarza sytuacje wyraźne. W razie wojny wystarcza program najprostszy — wszystko dla zwycięstwa. Później dopiero może być czas na dyskusję o celach wojny.

Pod tym względem zrozumienie sytuacji jest w Polsce zupełne. Nawet pierwotne niebezpieczeństwo, byśmy faktycznej jednolitości Narodu w tej sprawie nie osłabili przez poszukiwanie w tym momencie zewnętrznego wyrazu dla jej manifestacji formalnej, dzisiaj już nie istnieje. Pod tym względem — śmiało można postawić to twierdzenie — sytuacja jest o wiele lepsza, niżeli w roku 1920, gdzie moment targów politycznych nie oszczędził nawet tego rodzaju instytucji, jak Rada Obrony Państwa. Dzisiaj istnieje zrozumienie powszechne, będące wyrazem znacznie większej dojrzałości politycznej, że prawdziwa jednolitość jest wtedy, gdy nikt nie myśli o targach, wszyscy o skuteczności działania. Trudno może o lepsze i wyraźniejsze sformułowanie tej prawdy, niźli to, jakie dał w wierszu jeden z poetów, który w opinii publicznej uważany jest za wyraziciela szczególnie ostrej opozycji w stosunku do rzeczywistości polskiej — b. żołnierz i oficer Legionów, Władysław Broniewski. Wiersz ten, drukowany w jednym z tygodników politycznych, będąc istotnie wyrazem najwłaściwszej orientacji wojennej, zasługuje na przytoczenie, tymbardziej, że nie jest długi — składa się z trzech zwrotek, zatytułowanych „Bagnet na broń". Oto one:

*

„Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz — Polskę,
kiedy rzucą przed siebie grom,
kiedy runą żelaznym wojskiem
i pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomocą —
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi:
Bagnet na broń!
Trzeba krwi!

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń wyciągniętą nad Polską —
kula w łeb!

Ogniomistrzu i serc i słów,
poeto — nie w pieśni troska...
Dzisiaj wiersz — to strzelecki rów,
okrzyk i rozkaz:
Bagnet na broń!
A gdyby umierać przyszło,
przypomnimy co rzekł Cambronne
i powiemy to samo — nad Wisłą".

*

Do prostoty i jasności formuł politycznych, zawartych w tym wierszu nie mamy nic do dodania. Na czas wojny są to formuły jedyne. Może z jednym zastrzeżeniem, że w Polsce w tej chwili coraz jaśniej widzi się fakt, że wojna dla nas nie byłaby wojną o obronę honoru, czy utrzymanie stanu posiadania, że w razie narzucenia nam próby realnych sił mielibyśmy i własne cele rozwojowe, idące dalej, niżeli tylko po linię obrony status quo i odparcia niebezpieczeństwa.

Agresja polityczna Niemiec na nasze sąsiedztwo i równocześnie próby sugestii istnienia jakichś zagadnień we wzajemnych stosunkach polsko - niemieckich uwidoczniły, że gdyby przyjąć tezę o „istniejących zagadnieniach" — to zagadnienia te istniałyby nie w obrębie naszych granic i naszych praw, lecz poza nimi. Fakt, że w takim czy innym z miast polskich można znaleźć kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu ludzi, skłonnych do przywdziania na rozkaz białych pończoch, czy koszul brązowych — nie jest zagadnieniem. Nigdzie w Polsce nie ma i nie będzie warunków na masową produkcję ani tych koszul, ani tych pończoch. Zagadnieniem natomiast jest, jeżeli poza naszymi granicami zachodzi konieczność uprawiania masowej akcji przymusowego wynaradawiania w stosunku do przeszło miliona ludzi, żyjących w zwartej masie na odwiecznie własnym terytorium. O tym my

pamiętamy i o tym powinna pamiętać również strona niemiecka.

*

Strona ta tymczasem wybiera inną metodę — demonstrowania nieszczerej naiwności. Jaskrawym przykładem tej metody jest dokonywana przez prasę niemiecką próba imputowania sugestii, że społeczeństwo polskie nie orientuje się zapewne, jak drobne są te „istniejące zagadnienia", po których uregulowaniu Niemcy gotowe byłyby Polsce dać poszanowanie jej granic i interesów na lat piętnaście, to jest „na połowę życia jednego pokolenia".

Naiwność tego rozumowania jest tak rażąca, że dowodzi albo wybitnej nieszczerości, albo równie wybitnego zaślepienia. Pomijając już fakt, że w zakresie naszych praw i naszych granic nie widzimy żadnych zagadnień, o których bylibyśmy skłonni dyskutować — istnieją jeszcze bardziej zasadnicze powody naszego zdecydowanie negatywnego stosunku do wszelkich prób tego rodzaju sugestii. Oto najważniejsze z nich:

1. Podstaw naszego bezpieczeństwa szukamy w sile, w sojuszach i porozumieniach — nie w gwarancjach. Sam fakt, że ktoś chce być gwarantem wystarcza, byśmy nie mieli zaufania do przebijającej się w tym stosunku intencji.

2. Wartość gwarancji pruskich znamy z własnej przeszłości i z dzisiejszych doświadczeń naszych sąsiadów. Nie naszą winą jest, iż nie możemy ich cenić wysoko. Na razie posiadamy taką gwarancję na lat pięć. Jeśli ma ona być wekslem bez pokrycia — to nie widzimy powodu do mymiany tego weksla na inny — o wyższej sumie, lecz o również fikcyjnej wartości.

3. Historii naszej nie liczymy na piętnastolecia i na pokolenia, lecz na wieki. Jesteśmy dość silni, by każdą groźbę i każdą potrzebę wysiłku przyjąć na siebie dziś — nie potrzebujemy przekazywać ich pokoleniom następnym, czy też zostawiać na okres własnej starości. Teza, iż tanim kosztem można kupić pokój na lat piętnaście, może mieć wartość tylko dla tego, kto dziś się boi wojny. My do tych nie należymy.

*

Z powyższych tez płynie nasze jasne i wyraźnie określone stanowisko. Mając poczucie, że wojna nam narzucona musiałaby pociągnąć za sobą postawienie z naszej strony szeregu realnych problemów, jako domagających się rozstrzygnięcia — my ich w czasie pokoju nie wysuwamy. Szanujemy zarówno wartość wszelkich naszych zobowiązań, jak też wartość pokoju. Stronie niemieckiej nie będziemy ani proponowali targów, ani przyrzekali gwarancji. Pokojowości naszej dawaliśmy i dajemy dowód nie w podpisach, lecz w całym wzajemnym stosunku, którego jednym z etapów był pakt o nieagresji z roku 1934. Jednak pakt o nieagresji — to w naszym rozumieniu obowiązek poszanowania pokoju, nie ulegania zachciankom. Poza ten sposób rozumowania nie wyjdziemy.

Jeśli strona niemiecka skłonna jest do takiego samego sposobu rozumienia słów i spraw prostych — może spać spokojnie. Jeśli nie — niechaj szykuje dobrą armię i wzmacnia szanse zwycięstwa. My ze swej strony będziemy czynili to samo, wierząc, że z lepszym skutkiem. Nie widzimy natomiast żadnego powodu, byśmy ciężar walki mieli przerzucać na wymianę problematycznej wartości argumentów, zwłaszcza jeśli po drugiej stronie nie widzimy skłonności do rzeczowego traktowania ani słów, ani pojęć, ani — nade wszystko — zobowiązań.

*

Ważnym momentem dzisiejszej sytuacji politycznej i militarnej Europy jest fakt, że tego rodzaju postawa jest dziś postawą nie tylko Polski. Deklamacje o powszechnej gotowości poszanowania pokoju stały się przeszłością. Dziś nikt również nie stwarza sobie sugestii, iż może oszukać historię przez to, że będzie „neutralny" w momencie wojennego pożaru. Realizm ocen i gotowość działania jest ważnym i wartościowym dorobkiem ostatniego okresu. Na miejsce fikcji integralnego pacyfizmu występuje o wiele zdrowsze poczucie, że szlachetna mądrość szczerego prawdziwego poszanowania pokoju jest prawem i cnotą silnych, przy czym miernikiem siły jest nie tylko rozległość terytorium, liczba mieszkańców, czy zakres posiadanych środków. Nikt dziś nie wątpi, że czteromilionowa Szwajcaria okazałaby w razie potrzeby siłę bezporównania większą, niżeli potrafiła wydobyć ze siebie szesnastomilionową Czechosłowacja.

*

W razie wojny realizm ten będzie ważnym czynnikiem zwycięstwa. Co będzie jednak, jeśli wojna będzie się poważnie odwlekać, jeżeli weidziemy w okres trwającego latami pogotowia lub w okres pozornego rozładowania dzisiejszych napięć.

Tutaj musimy sobie jasno powiedzieć: poza niebezpieczeństwami wojny istnieją również i niebezpieczeństwa pokoju. Takim niebezpieczeństwem byłaby próba zmarnowania wartości realnego dorobku ostatnich miesięcy przez ponowne wejście na drogę nagromadzenia fikcji. Zbyt łatwa demobilizacja psychiczna społeczeństw europejskich mogłaby pozwolić na ponowne i szybkie wytworzenie nierówności potencjału przygotowania moralnego po obu stronach frontu. Bo przecież dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, że Niemcy hitlerowskie wszystkie swoje sukcesy polityczne i terytorialne lat ostatnich zawdzięczają wyłącznie przewadze mobilizacji moralnej, nie materialnej.

Stan dzisiejszy, który od stanu wojny pełnej różni się właściwie tylko tym, że działa zatoczone na pozycje jeszcze nie strzelają — nie powinien być przekreślony zbyt łatwo, przez nawrót do punktów wyjścia z przed okresu powszechnego pogotowia przy równoczesnym potwierdzeniu raz jeszcze tezy, że w stosunkach międzynarodowych łatwo jest o osiąganie pomyślnych rezultatów ze złych czynów. Jeśli Europa ma uniknąć wojny realnej w stosunkowo niedługiej przyszłości, to celu tego nie osiągnie napewno przez zbyt łatwe przyjęcie tezy, że dzisiejsza wojna nerwów, środków i przede wszystkim pogotowia psychicznego ma się zakończyć fikcją demobilizacji materialnej bez osiągnięcia istotnego zwycięstwa moralnego. W tym wypadku nade wszystko strzec by się należało zbyt łatwej demobilizacji psychicznej po stronie tych, którzy istotnie pokój cenią więcej, niżeli sukcesy wojenne, choć nie więcej, niżeli własną wolność, czy własne prawa.

*

W dzisiejszych warunkach ostrzeżenie to może wyglądać na zbędne lub co najmniej przedwczesne. Kto wie jednak, czy w najbliższej przyszłości nie będzie bardzo potrzebne. Dziś jeszcze wszyscy w Europie, używając określenia Clemenceau, „robią wojnę", mając pełną świadomość, iż w razie jej wybuchu trzeba wszystko podporządkować sprawie zwycięstwa. Lecz wygrywa się i przegrywa nie tylko wojny — można także wygrywać i przegrywać okresy pokoju. Zwłaszcza gdyby dzisiejszy wyścig „robienia wojny" miał się w niedługiej przyszłości — co nie jest niemożliwe — zamienić w wyścig robienia pozorów pokoju. Ze strony Polski należałoby o tym pamiętać ze starannością szczególną. Z dzisiejszej sytuacji zdrowym wyjściem może być tylko otwarta wojna lub pewny pokój. Pokój pozorny może być tylko — kosztownym w ostatecznych wynikach — zyskaniem czasu, lecz osłabieniem sił.

Skończony rapsod rycerskiego życia

Pamięci Walerego Sławka

Był człowiekiem wysokiej obywatelskiej cnoty, owej starożytnej virtus, której nakazom podporządkowuje się wszystkie osobiste interesy, sprawy, wygody.

Był równocześnie człowiekiem szczególnej, wyjątkowej wprost wierności. Wiernością tą związał się podwójnie. Był wiernym zarówno w nieprzerwanym ciągu trudnej i wyczerpującej służby publicznej, jak też wiernym w posłusznej, pełnej głębokiego zaufania i bezgranicznego przyjacielskiego oddania służbie Józefowi Piłsudskiemu.

Był także człowiekiem walki w najgłębszym duszy jestestwie. Walka stała mu się potrzebą życia. Związał się z nią tak nierozerwalnym węzłem, jakim pierwsi chrześcijanie wiązali się z pragnieniem śmierci męczeńskiej. Nie darmo jeden z tych, którzy jeszcze w czasie wojny światowej pisali o Walerym Sławku, podnosił jako rys szczególnie istotny, że sierpniowe decyzje wojenne Józefa Piłsudskiego z roku 1914 były dla Walerego Sławka stworzeniem atmosfery, w której żył i oddychał swobodniej, niżeli kiedykolwiek, odpoczywając po trudach poprzedniego okresu pracy konspiracyjnej.

Był człowiekiem samotnym. Samotność tę wyrobił w sobie jako cnotę bojownika. Od swego Wielkiego Przyjaciela uczył się trudnej sztuki dogłębnego wewnętrznego i samotnego przetrawiania decyzji, by przychodzić do ludzi z żądaniem określonego i skupionego działania.

Nie miał osobistego życia. W epoce, w której „kompleks Judyma" był zagadnieniem nie literackim, lecz jednym z realnych warunków egzystencji wielu, należał do tych, którzy oddali sprawie całość duszy, myśli i uczuć.

Wszystkie te cechy złożyły się na szczytne i dumne zjawisko życia Walerego Sławka. Były składnikiem Jego siły osobistej, zdolności skoncentrowanego działania, przełamywania trudności, osiągania rezultatów, wreszcie szczególnie wysokiego autorytetu moralnego zarówno w kołach przyjaciół, jak przeciwników politycznych.

Przeciwników miał wielu. W walce umiał być bezwzględny, bezwzględnością płynącą z poczucia wysokich celów jak również z wielkiego osobistego męstwa i nieporównanej odwagi cywilnej. Równocześnie jednak był przeciwnikiem uczciwym, szczerym i nade wszystko głęboko bezinteresownym. Toteż — mając wielu przeciwników — nie miał nieprzyjaciół, przynajmniej nie miał ich śród ludzi dobrej i otwartej woli.

Nad trumną Walerego Sławka zebrali się nie tylko przyjaciele polityczni, czy osobiści. Nie brakło tam nikogo z tych, którzy umieli docenić wartość duchową symbolu wyjątkowo pełnej, wyjątkowo różnostronnej, idącej od podziemi pracy konspiracyjnej — przez półotwartą walkę bojowego okresu P.P.S., przez przygotowania Związku Walki Czynnej, Legiony, P.O.W., Armię Polską, aż po sejmowe walki z przewagą wpływów stronnictw politycznych na całość naszego ustroju państwowego — działalności publicznej w imię wolności, porządku i potęgi Polski. W orszaku pogrzebowym nie zbrakło sztandarów Polskiej Partii Socjalistycznej, z którą Zmarły związany był wspólną przeszłością bojową, lecz z którą w latach ostatnich prowadził ostrą walkę polityczną. Decyzja ta dowodziła dużej śmiałości, lecz i trafnego instynktu dzisiejszych kierowników stronnictwa, rozumiejących, że rozstanie Walerego Sławka z polskim ruchem socjalistycznym mogło prowadzić za sobą konieczność następnej walki politycznej, nie pociągało za sobą przekreślenia poczucia uzasadnionej dumy ze wspólnie prowadzonych walk okresu poprzedniego. Z Walerym Sławkiem można się było rozstać w praktycznej działalności politycznej, wstydzić się okresów współpracy z nim napewno nie było trzeba.

*

Okoliczności śmierci były — podobnie jak całość życia — pełne jakiejś rycerskiej tajemniczości. Decyzja odejścia nastąpiła w wyniku nieznanego bliżej rachunku sumienia, którego pozycje mogą być tylko w niewielkiej stosunkowo mierze dostępne dla hipotetycznych dociekań. Domyślać się jedynie można, że i w tej ostatniej godzinie, w której stawką, jak tyle razy przed tym, było zagadnienie życia i śmierci — głównym elementem decyzji był stosunek do sprawy publicznej. Domyślać się można jedynie, że na sprawę decyzji nie pozostały bez wpływu i te same wyżej rozpatrzone elementy charakteru, które uprzednio były składnikami życia i siły w działaniach publicznych Walerego Sławka.

Wierność pamięci Józefa Piłsudskiego nie pozwalała niezmordowanemu przez lat dziesiątki współtowarzyszowi Jego pracy i walki na swobodne i beztroskie usunięcie się od odpowiedzialności za przyszłe losy Polski. Równoczesne wysoki instynkt obywatelskiej cnoty ostrzegał Go przed działaniem, które — przez rozpętanie wysoce niebezpiecznej i niezdrowej walki o władzę — byłoby w praktycznych skutkach niszczeniem podstaw wspólnie niegdyś osiąganych rezultatów. Stąd trudność politycznych decyzji, pogłębiona jeszcze zapewne przez poczucie wielkiej samotności, samowiedzę, że w tej sytuacji łatwo się stać sztandarem i narzędziem walki w rękach ludzi, którzy do wielkiego ołtarza Ojczyzny cisną się nie poto, by na nim złożyć osobiste ambicje i osobiste interesy, lecz poto, by je przez ten ołtarz wynieść i wywyższyć. I to była zapewne tragedia obywatela-polityka.

Lecz była zapewne również i tragedia Człowieka. Ciśnienie woli, sprężonej dziesięcioleciami walki, było zbyt wielkie na czasy i życie normalne. Podobnie jak nurek, wyrzucony nagle ze zbyt wielkich głębin na powierzchnię morza, czuje dotkliwie niezdolność swą oddychania atmosferą o zwykłym ciśnieniu — tak i tu trudność zorganizowania życia, które nie byłoby ani życiem wielkiej odpowiedzialności, ani życiem ciężkiej i wyczerpującej walki — musiała być szczególnie duża, pogłębiona zresztą przez poczucie innej, tym razem czysto osobistej samotności. Rezultatem była decyzja śmierci, śmierci podwójnie tragicznej, raz przez bezowocność ofiary życia, drugi raz — przez dobrowolność rozstania się z Polską w dobie wielkich historycznych wydarzeń, które wymagają niezmiernie skrupulatnego rachunku i oszczędności sił nie tylko materialnych, lecz i moralnych.

I stąd naturalnym pytaniem, które musiało się cisnąć na usta tym, którzy tłumnie brali udział w kondukcie pogrzebowym Walerego Sławka, musiało być — pozbawione w danym wypadku wszelkiego retorycznego charakteru — pytanie żałobnego rapsodu, poświęconego przez Norwida pamięci Bema:

„Czemu, Cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz,
Przy pochodniach, co skrami grają około twych kolan?
Miecz wawrzynem zielony i gromnic płakaniem dziś polan,
Rwie się sokół i koń twój podrywa stopę jak tancerz".

Pytanie: „czemu?" było w danym wypadku pytaniem szczególnie uzasadnionym. Nie miało jednak charakteru ani wyrzutu, ani zarzutu. Poczucie żołnierskiej treści życia było tak wielkie i powszechne, że śmierć gwałtowna i tragiczna była jak gdyby naturalnym końcem tego rodzaju żywota.

Nad mogiłą nie było przemówień, jakimi normalnie żegna się mężów stanu, polityków, dostojników państwowych. Była natomiast salwa i honory wojskowe. Było poczucie, że istotą zakończonego w dniu 2 kwietnia rapsodu życia Walerego Sławka była przede wszystkim i nade wszystko jego treść głęboko żołnierska i rycerska.

Zbigniew Domaniewski

Polsko-angielskie spotkanie

Polska i Anglia podały sobie ręce. Jak dotychczas dążyły do swych celów narodowych odrębnymi drogami. Jednak 31 marca drogi te się spotkały. Nareszcie się spotkały!

Droga, po której szła Polska powojenna była prosta i jedna. Położenie geograficzne Polski ogranicza jej swobodę w wyborze sposobu realizacji celów narodowych. Prostolinijność jest w dodatku jedną z głównych cech naszego charakteru. Anglia znajduje się w odwrotnej sytuacji. Olbrzymia rozciągłość Imperium brytyjskiego wprowadza Anglię w bezpośrednią styczność z wielką ilością środowisk życia międzynarodowego. Stąd też przed Anglią, mocarstwem uniwersalnym, znajduje się wiele dobrych dróg, prowadzących do celu. Charakter Anglików jest w przeciwstawieniu do naszego zaprzeczeniem prostolinijności. Anglicy nie starają się patrzeć daleko w przyszłość, teraźniejszości nie pojmują rozumowo, ani uczuciowo, tylko doświadczalnie. Odpowiednio do tego polityka angielska porusza się jakby po omacku, probuje to w jednym to w drugim miejscu, czy teren jest dla niej odpowiedni.

W ciągu dwudziestu lat, które minęły od odrodzenia naszej państwowości, Anglia stale krążyła wokół Polski. Ustosunkowywała się do nas, zależnie od chwilowej sytuacji, obojętnie, z niechęcią, lub biernie życzliwie. Lecz 31 marca kręta droga eksperymentującej polityki angielskiej spotkała się wreszcie z prostą drogą polityki polskiej.

•

Porozumienie polsko-angielskie ma charakter spotkania Polski przez Anglię na płaszczyźnie dziejowej. Kręta droga polityki angielskiej prowadziła ostatnio po śladach już kilkakrotnie wydeptanych przez polityków i żołnierzy Albionu. Zmieniły się wchodzące w grę państwa, zmieniły się panujące warunki, lecz niezmienione pozostały żywotne potrzeby Anglii i reakcje nagielskiego ducha, Anglia spotkała Polskę na swej odwiecznej drodze.

Anglia znajdowała się w historycznym dniu 31 marca wobec analogicznej konieczności powzięcia radykalnych postanowień jak pod koniec ubiegłego stulecia; Anglia widzi wokół siebie narastające siły, które mogą ją zniszczyć. Na przełomie XIX i XX wieku zagrażały Anglii Rosja, Francja i Niemcy, dziś zamiast Rosji i Francji Anglia ma przed sobą Japonię i Włochy, a dynamizm Niemiec odrodził się ze zdwojoną gwałtownością. Pod koniec ubiegłego stulecia, podobnie jak przed dwoma laty, Anglia w poczuciu niebezpieczeństwa przystąpiła do zbrojeń na wielką skalę. 9 listopada 1886 ówczesny premier Salisbury oznajmił w Parlamencie w związku z planami zbrojeniowymi, że „własne ramię Anglii będzie dostatecznie silne, aby ochraniać jej interesy, gdziekolwiek tylko zostałyby naruszone". Była to odpowiedź na naleganie niektórych członków Izby, żeby Anglia, celem lepszej ochrony swych interesów, szukała sojuszników. Salisbury wypowiedział się w tych słowach za kontynuowaniem wspaniałego odosobnienia Anglii. W pięćdziesiąt lat potem, 18 lutego 1937, premier Baldwin, komentując preliminarz budżetu zbrojeniowego, oznajmił, że Anglia zbroi się „chcąc powstrzymać potencjalnego napastnika", a minister marynarki Hoare twierdził, że „potęga floty brytyjskiej uczyni wkrótce wojnę niemożliwą". Z oświadczeń tych wynikało, że Anglia zbroi się z myślą ,że potęga jej nowych sił zbrojnych wystarczy w każdym razie dla ochrony jej wałsnych interesów. Czy jednak można było spodziewać się w roku 1937 opowiedzenia się Anglii wzorem Salisburyego za polityką odosobnienia? Czy należy dziwić się obecnemu zwrotowi do sojuszy?

Na oba te pytanie damy odpowiedź przeczącą. Mamy na to wiele argumentów, zarówno natury psychologicznej, jak politycznej i historycznej. A więc przede wszystkim fakt historycznie stwierdzony, że wspaniałe odosobnienie, cechujące położenie międzynarodowe Anglii w czasach od kongresu wiedeńskiego do panowania Edwarda VII, nie szło w parze z mocą. Nie było następstwem stworzenia takiej siły zbrojnej, przy której Anglia mogłaby sama zabezpieczyć swe interesy światowe. Naodwrót, Anglia była niedostatecznie uzbrojona, w stosunku do ogromu swych interesów była słaba. Oto fakty. — Rok po kongresie wiedeńskim Castelreagh donosił Porcie, że „Anglia jest zbyt wyczerpana wojną, aby czuć skłonność do poparcia jej zbrojnie". Słaba militarnie Anglia nie zdołała zapobiedz w roku 1829 pokojowi rosyjsko-tureckiemu w Adrianopolu, choć sytuacja, wytworzona warunkami tego pokoju, godziła dotkliwie w interesy mocarstwowe Anglii. Militarna niezdolność do interwencji spowodowała nawet w tym wypadku upadek gabinetu. W roku 1870 Anglia nie wmieszała się do wojny niemiecko-francuskiej. Gladstone, obejmując w roku 1868 premierostwo, miał do usunięcia deficyt budżetowy i to było przyczyną, że przy wybuchu wojny niemiecko-francuskiej Anglia znajdowała się w fazie znacznych oszczędności zbrojeniowych. Gdy pięć lat potem, w związku z wydarzeniami w Bośni i Herzegowinie, interesy Anglii wymagały zbrojnego wystąpienia przeciwko Rosji, próbna mobilizacja wykazała, że Anglia jest niezdolna do działania. Anglia po wojnie z Napoleonem i blokadzie kontynentalnej była gospodarczo wyczerpana. Potem, gdy było tego potrzeba, ratował swe budżety, oszczędzając na zbrojeniach. I w tym właśnie, a nie w sile, należy szukać genezy odosobnienia, nie jako pięknie brzmiącej doktryny, lecz jako angielskiej rzeczywistości politycznej.

Korzenie tej rzeczywistości tkwią w liberaliźmie politycznym, opartym o doktrynę wolnego handlu (Cobden) i religijno-etyczny pacyfizm (Bright). Cobden uważał dążenie Anglii do potęgi imperialnej za wytwór zarozumiałości, a posiadanie Gibraltaru, jako zamku u wrót Morza Śródziemnego, za „przykład brutalnej przemocy, którego nie złagodzi żadne usprawiedliwienie". John Bright domagał się regulowania stosunków międzynarodowych na podstawie Ewangelii i podług norm etycznych życia prywatnego. Wszyscy liberałowie jednakowo potępiali „nadmierne" wydatki na zbrojenia. Biograf Cobdena Morlay pisze, że jedynie „szybkie rozpowszechnienie się tych zasad po wojnie krymskiej było przyczyną niemożności wmieszania się Anglii w wojny francuską i austriacką, amerykańską, duńską, niemiecko-francuską i rosyjsko-turecką (1877—1878)". Jeśli więc Anglia stroniła wtedy od spraw kontynentu i pozostawała przez to odosobniona, to nic w tym nie było silnego, a więc politycznie wspaniałego. „Splendid isolation" należałoby uznać za ideał, który wynaleziono, aby kryć pod nim mocarstwową abnegację. Jak tylko przyszła reakcja przeciwko liberalizmowi, ideał ten stracił rację bytu. Już w roku 1844 przyszły premier Disraeli potępia, jako pisarz, oderwaną doktrynalność szkoły manchesterskiej, twierdząc, że „człowiek jest wtedy tylko prawdziwie wielki, kiedy idzie za swymi namiętnościami". Anglią powinien kierować duch heroizmu, „bez którego urządzenia polityczne są mięsem bez soli, a korona zabawką" . Otóż heroizm jest zaprzeczeniem odosobnienia. Późniejsza Anglia imperialistyczna, rosnąca w zbrojnej sile i nacechowana duchem heroizmu, nie mogła hołdować ideałowi splendid isolation. Z chwilą, kiedy siła umożliwiła jej

wspaniałość, psychologia tej siły nie chciała się pogodzić z odosobnieniem. Jeśli Salisbury przedkładał Parlamentowi w lutym 1889 gigantyczny projekt budowy 70 jednostek morskich, chcąc dotrzymać przyrzeczenia, że „własne ramię Anglii" będzie dość silne, aby ochronić jej interesy; jeśli w grudniu 1893 znów wniósł do Parlamentu projekt wzmocnienia floty, a dla zrównoważenia siły połączonych flot Rosji i Francji ustalił zasadę „two power standard"; jeżeli w roku 1896 pisał, że „nie ma w ogóle polityki stałej, gdyż polityka, jak wszystkie jestestwa organiczne, znajduje się nieustannie w fazie stawiania się" i konsekwentnie wyznawał zasadę „wolnej ręki" — to jednak ta właśnie, jego staraniem ogromnie wzmocniona, już p o t ę ż n a flota brytyjska, stała się fundamentem wiążącego sojuszu angielsko-japońskiego (1902) i entente cordiale z Francją (1904). P o t ę ż n a Anglia nie pragnęła tkwić w samotności. Salisbury — przedstawiciel polityki odosobnienia i zasady decydowania się na działanie tylko od wypadku do wypadku — w pół roku po zawarciu układu z Japonią wycofał się z życia politycznego. Na jego miejsce przyszedł Balfour, który, wespół z Joe Chamberlainem, będąc już w roku 1891 członkiem gabinetu, pchał Anglię do działań powiązanych, do sojuszów i ustalania odległych w czasie celów.

Ten proces historyczny powtarza się po wojnie światowej. Wyczerpana długotrwałą wojną i zajęta gospodarczą odbudową Anglia zaczęła oszczędzać na zbrojeniach. Zrodziły się znowu utopijne idee na temat stosunków między narodami. Jak Bright, po wojnie z Napoleonem, chciał oprzeć współżycie państw na zasadach Ewangelii, tak opinia angielska po wojnie światowej pragnęła oprzeć życie międzynarodowe na ideale Ligi Narodów. Konsekwencje fałszywego pacyfizmu w obu okresach powojennych były jednakowe: przejściowe odsunięcie się od zobowiązań, wymagających znacznej siły zbrojnej, a ostatecznie — nowe zbrojenia. Jak w roku 1889, tak i w roku 1987, Parlament przyjął „wielki preliminarz" zbrojeniowy. I tak samo, jak po zbrojeniach w końcu XIX stulecia, następuje dziś zwrot Anglii ku solidarności międzynarodowej. W jednym i drugim zwrocie nie ma nic niespodziewanego, nic dziwnego. Poczucie niezachwianej siły mocarstwowej nie godzi się z politycznym odosobnieniem. Gdy budzi się moc państwa, odzywa się również instynkt solidarności międzynarodowej. Silna Anglia — to solidarna Anglia.

•

Zwrot Anglii do ścisłej współpracy z innymi mocarstwami, jak w końcu ubiegłego stulecia, tak i dziś, nie jest jedynie zjawiskiem psychologicznym. Tak więc pod względem psychologicznym obecny zwrot polityki angielskiej ku sojuszom jest powtórzeniem wydarzeń na przełomie XIX i XX stulecia, lecz z punktu widzenia politycznego Anglia dokonała dziś niezwykłego posunięcia. Sojusz Anglii z Polską, jak to zresztą Chamberlain sam oświadczył, jest w swej politycznej treści przełomowym wydarzeniem w historii Anglii. Po raz pierwszy wiąże się ona z państwem kontynentalnym sojuszniczymi więzami.

Przełom ten tłomaczy się przede wszystkim całkowitą przemianą sytuacji strategicznej Wysp Brytyjskich. Do wielkiej wojny Anglii było w zasadzie obojętne, jakie i jak wielkie państwa istnieją na kontynencie, jeśli tylko państwa te tworzyły dwa bloki o sprzecznych interesach i równoważących się lądowych siłach zbrojnych. Gdy jedno z mocarstw kontynentalnych rosło terytorialne, Anglii to nie niepokoiło, jeśli tylko rosły proporcjonalnie państwa o odrębnych interesach. W myśl kardynalnej zasady koncentracji sił w punkcie decydującym, państwa te, rosnące i rywalizujące z sobą, tworzyły coraz to większe armie lądowe, mające zadecydować w walce o hegemonię kontynentalną, a w zamian za to stawiały na dalszym planie rozbudowę swych flot morskich. Otóż bez floty, zdolnej pokonać angielską i otworzyć armii drogę na Wyspy Brytyjskie, armia lądowa, choćby najpotężniejsza, nie była dla Anglii żadną groźbą. Równowaga sił państw kontynentalnych, powodując wyścig zbrojeń lądowych i blokując w konsekwencji budżety flotowe, gwarantowała bezpieczeństwo Anglii. Stąd też i wzrost terytorialny mocarstw lądowych przy zachowaniu równowagi sił nie był dla Anglii groźny. Anglia przyjmowała ze spokojem taką dynamiczną równowagę rosnących sił.

W warunkach ubiegłego stulecia kontynentalna równowaga sił była dla Anglii w dodatku systemem bezpieczeństwa o dwóch stopniach. Pierwszym stopniem było to, że rywalizujące grupy państw, będące jednakowo silne, jednakowo potrzebowały poparcia Anglii, a wynikający z tej rywalizacji wyścig zbrojeń dotyczył sił lądowych. Drugi stopień bezpieczeństwa stanowiła okoliczność, że gdyby równowaga została zachwiana, gdyby jedno z państw zdobyło decydującą przewagę i zaczęło się czuć bezpieczne na kontynencie, gdyby skutkiem tego zaczęło myśleć o panowaniu na morzu, to potrzebowało kilkunastu lat, żeby wybudować flotę, zdolną mierzyć się z angielską. Przez ten czas Anglia mogła bez pośpiechu pokrzyżować plany państwa grożącego jej przez morskie zbrojenia. Przykładem los przedwojennych Niemiec, rozrośniętych przez rozbiory Polski, aneksję Szlezwigu i Alzacji-Lotaryngii, budujących potem wielką flotę: zanim ta flota została ukończona — Niemcy zostały pobite na lądzie za sprawą Anglii. Dopiero powstanie na kontynencie wielkich armij lotniczych zmniejszyło znaczenie równowagi sił jako podstawy bezpieczeństwa Anglii. W dzisiejszych warunkach kontynentalna równowaga może być dla Anglii systemem bezpieczeństwa o jednym tylko stopniu: absorbując na kontynencie groźne dla Anglii armie lotnicze, wzmacnia bezpieczeństwo Anglii tak długo, jak długo istnieje. Złamanie równowagi i powstanie na kontynencie czyjejś hegemonii musi pociągnąć za sobą natychmiastowe zagrożenie Anglii: mocarstwo kontynentalne, które by steroryzowało resztę państw kontynentalnych, mogłoby, wyzyskując chwilową sytuację, natychmiast rzucić swą armię lotniczą nad Wyspy Brytyjskie. Aneksja Austrii, aneksja Czechosłowacji dały np. Niemcom półtora tysiąca samolotów, które w ciągu jednej godziny mogą się zjawić nad Londynem. Każdy nowy terytorialny lub gospodarczy sukces Niemiec daje im możność dokonania nowych wydatków na zbrojenia lotnicze, a armie lotnicze, nie tak, jak floty morskie, można uwielokrotnić w ciągu kilku miesięcy. Zjawienie się na kontynencie potężnych armij lotniczych sprawiło, że Anglia musi dbać nie tylko o to, aby na kontynencie istniała absorbująca te armie równowaga sił, lecz i o to, żeby te armie, brane poszczególnie, były możliwie najsłabsze w stosunku do sił lotniczych Anglii. Dawny spokój Anglii wobec powstawania wielkich mocarstw kontynentalnych, rywalizujących z sobą zażarcie, ustępuje miejsca zainteresowaniu, żeby państwa kontynentalne nie były zbyt wielkie. Dawna, dynamiczna równowaga rosnących sił, powinna dla interesów Anglii ustąpić miejsca nowej, statycznej równowadze niezmiennych sił, niezmiennych wielkością i wpływami państw. We Francji, w związku z niemieckim parciem na Wschód, powstała ostatnio w pewnych kołach koncepcja, żeby pozwolić Niemcom i Rosji okroić Polskę do rozmiarów Księstwa Warszawskiego, a basen Dunaju podzielić na strefy wpływów niemieckich i rosyjskich. We Francji rachowano, że Niemcy zostaną przez to nasycone, przestaną niepokoić Europę, Francja przybliży się do swej dawnej, potężnej sojuszniczki Rosji, już bezpośredniej sąsiadki Niemiec, a sama wzmocni się przez rozwój swego imperium kolonialnego. Lecz Anglia, która dziś musi dbać nie tylko o utrzymanie na kontynencie równowagi sił, lecz i o to, żeby nie było zbyt wielkich państw, postanowiła położyć kres wzrostowi Niemiec. Anglia, która przed półtora wiekiem patrzała obojętnie na rozbiory Polski, dziś zawarła z Polską sojusz. Sojusz, który ma położyć kres wiecznym niemieckim podbojom.

Jest on wydarzeniem przełomowym w polityce angielskiej nie tylko jako zwiastun nowych celów, lecz i metod. Widać to szczególnie wyraźnie przy porównaniu sojuszu polsko-angielskiego z polityką Anglii w odniesieniu do Rosji i Francji w ostatnim dziesięcioleciu przed wielką wojną. Sytuacja geograficzno-polityczna była pod wieloma względami podobna do dzisiejszej: Rosja, jak dziś Polska, sąsiadowała z Niemcami, które, wespół z Austro-Węgrami, parły do mórz Czarnego i Egejskiego, oraz sięgały po hegemonię na Bałtyku; Rosja, jak dziś Polska, była nadto sprzymierzona z Francją. Wpływy Austro-Wę-

gier i Niemiec w Rumunii, Bułgarii, a nawet w Serbii, zaczęły dystansować wpływy rosyjskie, dynamiczna równowaga sił zaczęła się chwiać. Anglia, chcąc wzmocnić pozycję Rosji w Europie, tym samym i sprzymierzonej z Rosją Francji, z którą sama była związana serdecznym porozumieniem, wyrównała z Rosją swe azjatyckie rozbieżności. Jednak Anglia, ani z Rosją, ani nawet z Francją, nie zawarła sojuszu. Anglia chciała tylko zapewnić sobie, że jeśli wybuchnie wojna między Austro-Węgrami i Niemcami a jakimś państwem europejskim, to będzie miała możność natychmiastowego przeciwstawienia blokowi germańskiemu bloku anglo-francusko-rosyjskiego. Unikając definitywnych sojuszów, które by uczyniły pewnym i widocznym udział Anglii w ewentualnej wojnie kontynentalnej, Anglia stwarzała warunki, mogące ułatwić pokonanie bloku germańskiego w razie, gdyby ten blok wywołał wojnę, lecz nie stwarzała warunków, mogących zniechęcić ten blok do planów wojennych. Polityka taka odpowiadała ówczesnym światowo-gospodarczym interesom Anglii. Niemcy biły Anglię na światowych rynkach handlowych. Przemysł i handel niemiecki okazywał większą przedsiębiorczość od angielskich. Anglia mogła ewentualnie znaleźć się w sytuacji, w której nie byłoby innego sposobu odzyskania straconych pozycyj gospodarczych, jak wciągnięcie Niemiec w wojnę i zniszczenie ich, tym samym zas uwolnienie się na światowych rynkach od niemieckiej konkurencji. Dziś sytuacja jest odrębna. Anglia w razie wygranej wojny z Niemcami nie miałaby już do odebrania im tak wielkich pozycyj gospodarczych, żeby wojna mogła okazać się gospodarczo opłacalną. Dlatego też dziś polityka angielska ma na celu nie tylko zapewnienie sobie warunków zwycięstwa w razie wojny z Niemcami, lecz przede wszystkim uniknięcia tej wojny. Toteż Anglia unika dziś wszelkiej niejasności i zajmuje manifestacyjnie pozycje obronne na kontynencie.

Przy takim układzie interesów narodowych Anglii sojusz jej z Polską i troska o los państw bałkańskich motywuje się bezpośrednio sąsiedztwem tych państw z Niemcami. Jednak Anglia, zapewniając Polsce i innym państwom między Bałtykiem a Morzem Czarnym pomoc zbrojną na wypadek wojny z Niemcami, ma również na myśli pośrednie efekty tej polityki. Efekty te Anglia pragnie wykorzystać u wybrzeży Morza Północnego, w Danii, Holandii i Belgii, powodując się specjalnymi względami strategii lotniczej. Już w roku 1935, gdy Niemcy wypowiedziały klauzule rozbrojeniowe traktatu wersalskiego i zaczęły organizować lotnictwo, Anglia wystąpiła z projektem paktu lotniczego, mającego obejmować m. in. Danię, Holandię i Belgię. Państwa, biorące udział w pakcie, zobowiązałyby się śpieszyć z pomocą ofierze napaści ze swym lotnictwem i oddać jej do dyspozycji swe bazy lotnicze. Jak pisał generał Golowin, „ochrona przeciwlotnicza Anglii byłaby znacznie utrudniona, jeśliby stanowiska obserwacji nieba znajdowały się zbyt blisko Londynu, na angielskim terytorium. Dla skutecznej obrony należałoby przesunąć te stanowiska co najmniej o 170 kilometrów. Jasne jest, jak skuteczny podarunek mogłaby uczynić strategii angielska dyplomacja, gdyby stworzyła warunki, w których obserwacja niebios mogłaby być przeniesiona na kontynent. Choć pakt lotniczy teoretycznie nie zwraca się przeciw żadnemu określonemu państwu, stwarza korzystne warunki dla ochrony Anglii przed ewentualną napaścią z powietrza. Propagowana przez Anglię konwencja lotnicza pozwala jej na obserwację terytoriów Belgii, Holandii i Danii. Rozszerza nadzwyczaj obszar ochrony przeciwlotniczej i umożliwia Anglii przeniesienie działań jej floty powietrznej na niebiosa kontynentu". Pakt ten jednak nie doszedł do skutku. Belgia, Holandia i Dania poszły w latach 1935 — 1936 po linii ścisłej neutralności i odmówiły przyjęcia jakichkolwiek zobowiązań wojskowych. Anglia nigdy jednak nie zapomniała o planie paktu lotniczego, który otworzyłby jej dostęp do baz lotniczych małych państw, położonych nad Morzem Północnym. Po złamaniu przez Niemcy zapewnień, złożonych w Monachium i zajęciu Czechosłowacji, Anglia zrozumiała, że żelazo zaczyna znów być gorące. Zagrożenie Danii, Holandii i Belgii przez Niemcy stało się kwestią dnia. I oto Anglia ukazuje się jako inicjatorka i organizatorka paktu, mającego zapewnić bezpieczeństwo i niepodległość wszystkim sąsiadom Niemiec. Anglia potwierdza swe dawne gwarancje integralności Belgii i Holandii, stara się kuć żelazo póki gorące. Może uda się wreszcie wykuć na kontynencie u północnych granic Niemiec bazy lotnicze dla Anglii!

Ten ostatni cel dzisiejszej polityki zagranicznej Anglii charakteryzuje najdobitniej wielkość dokonywujących się przemian. Anglia porzuca swą wyspiarską, niczem ślimaczą skorupę i z własnej woli stara się wyjść na europejski kontynent, zarówno politycznie jak strategicznie. Już to samo dowodzi, że sojusz Anglii z Polską, pierwsze realne osiągnięcie nowej polityki zagranicznej Anglii, nie jest zwrotem taktycznym, tylko nową wytyczną angielskiej racji stanu. Płonne są nadzieje tych, co się pocieszają, że „Anglii prędko znudzi się rola żandarma Europy środkowowschodniej". Anglia nie weszła na kontynent dla dokonania obchodu policyjnego. Wprowadziły ją nowe, żywotne i trwałe potrzeby. — Anglia nie może patrzeć bezczynnie, jak wraz z terytorium i obszarem wpływów gospodarczych rośnie armia lotnicza Niemiec, gotowa w każdej chwili wystartować do lotu nad Wyspami Brytyjskimi. Anglia również i ze względu na swe interesy handlowe nie może dopuścić, żeby Niemcy w dalszym ciągu opanowywały gospodarcze obszary Europy wschodniej i środkowej. — Anglia potrzebuje nadto dla skutecznej bezpośredniej własnej obrony dostępu do baz lotniczych na kontynencie u wybrzeży Morza Północnego, a droga do tych baz wiedzie tylko przez teren ogólnej solidarności europejskiej. Trzeba więc samemu dać przykład tej solidarności! — Wreszcie, Anglia, nie mogąc zarobić na ewentualnej nowej wojnie, musi we własnym, najbardziej żywotnym interesie, powstrzymać Niemcy od wywołania wojny. Wszystkiego tego nie da się zaś osiągnąć bez sojuszu z Polską. Bez szczerego i trwałego sojuszu.

•

Można zadać sobie pytanie, dlaczego Anglia teraz dopiero zaproponowała Polsce sojusz. Biorąc pod uwagę całokształt wytworzonej sytuacji, powinien on był dojść do skutku natychmiast po podpisaniu układów w Monachium. Z oświadczeń Chamberlaina, złożonych ostatnio w Izbie Gmin wiemy, że istotnie po Monachium ewentualność radykalnej zmiany polityki zagranicznej była poważnie brana w rachubę przez rząd angielski. Jeśli Anglia się wahała, to dlatego, że z jednej strony wierzyła zapewnieniom Hitlera, a z drugiej nie była jeszcze pewna, czy Polska jest dla niej należytym partnerem.

Okres monachijski był bardzo niekorzystny dla międzynarodowego prestiżu Polski. Okazało się wtedy, że w pewnych warunkach można rozsadzić państwo rozbudzając w nim ruchy narodowościowe. Przy wrodzonej ludziom skłonności do generalizowania obserwowanych zjawisk, po Monachium mogły łatwo powstać na Zachodzie opinie, że Polska jest państwem zagrożonym procesem rozkładowym, analogicznym do tego, który napoczął wtedy Czechosłowację. Rząd angielski, który, jak już zauważyliśmy, prowadzi zgodnie z charakterem angielskim politykę doświadczalną, nie mógł oczywiście zająć w tej sprawie stanowiska doktrynalnego, lecz co najwyżej patrzał na Polskę jak na obiekt laboratoryjny, poddany decydującemu doświadczeniu. Całkowite fiasko usiłowań do stworzenia w Polsce problemu ukraińskiego, jako sprawy, grożącej spójności, tym samym i sile mocarstwowej Polski, co więcej, widoczne wycofywanie się z tej akcji czynników zewnętrznych, stało się dla rządu angielskiego równoznaczne z negatywnym wynikiem doświadczenia, mającego wykazać słabość Polski. Półroczny okres, który nastąpił po Monachium, obalił w wielkiej mierze rezultaty dwudziestoletnich wysiłków propagandowych, wyzyskujących przeciwko Polsce fakt jej struktury narodowościowej. Odegrało to niewątpliwie olbrzymią rolę w decyzjach rządu angielskiego.

Okres ten, zakończony stanowczą odprawą, daną przez rząd i społeczeństwo polskie pewnym niewłaściwym poczynaniom Niemiec w stosunku do Polski, przyniósł nam w zakresie imponderabiliów inną jeszcze doniosłą zdobycz. Dał mianowicie dowody, że Polska jest silna nie tylko w rozgrywce politycznej i militarnej,

lecą również w walce psychologicznej, moralnej, w której, jak dotychczas, Zachód nie stał na wysokości zadania. Już wspominaliśmy w naszym piśmie, że wytrwałość i niezłomna wola Niemiec rozbiły psychicznie społeczeństwo i niektóre rządy zachodnie. W przeciwieństwie do świata zachodniego Polska była środowiskiem, zachowującym niewzruszony spokój, środowiskiem mężniejącym w obliczu rosnących niebezpieczeństw. Wiara w dobrą przyszłość, gotowość do potrzebnych poświęceń, spokój — oto elementy, które Polska wnosiła do sytuacji międzynarodowej w ciężkich dniach pod koniec ubiegłego i na początku bieżącego roku. Przez swą postawę w okresie pomonachijskim Polska wpłynęła w dużej mierze na przygotowanie gruntu psychicznego, na którym była możliwa reakcja, która nastąpiła po wydarzeniach marcowych. Po ostatecznym rozbiciu Czechosłowacji, obok Polski Anglia okazała się drugim państwem, które nie straciło głowy. W takiej sytuacji zbliżenie Polski i Anglii, szybkie zrealizowanie sojuszu, było psychologicznie nieuniknione. Równocześnie uwidocznił się fakt, że Polska jest jednym w Europie państwem, które potrafiło ustalić z Niemcami stosunek dobrego sąsiedztwa, bez okupienia tego rezygnacją. Metody dyplomacji polskiej okazały się prowadzącymi do celu, który po ostatnich wydarzeniach postawiła sobie również i angielska dyplomacja: utrzymanie pokoju przy zachowaniu zajmowanych pozycyj, zahamowanie niemieckiego imperializmu bez wywołania wojny. Pięcioletnie rezultaty polityki polskiej, brane w porównaniu z fiaskiem metod angielskich, musiały nabrać dla empirycznej dyplomacji angielskiej znaczenia dobrego wzoru. Wśród motywów historycznej decyzji Chamberlaina z dnia 31 marca znajduje się zaufanie do polskiej polityki zagranicznej, jako motyw niewątpliwie decydujący.

Tę przełomową decyzję określiliśmy już jako spotkanie Polski przez Anglię na płaszczyźnie dziejowej. Określenie to jest o tyle słuszne, o ile wyraża znacznie większą w wypadku Anglii niż Polski rozległość poszukiwań właściwej drogi, prowadzącej do celu, którym jest utrzymanie pokoju. W tym spotkaniu jest równocześnie coś, co jest jednakowo charakterystyczne dla obu państw: jednakowo odczuta potrzeba zamanifestowania siły mocarstwowej dla osiągnięcia pozytwnego celu. Anglia zbliża się do Polski pod wpływem silnie odczutej potrzeby rzucenia swych sił na szalę dziejowych wydarzeń, jej decyzja była decyzją angielskiego ducha. Polsko-angielskie spotkanie — to spotkanie dwóch mocy ducha, sprzymierzonych dla położenia kresu aktom przemocy. Spotkanie to nie było by możliwe, gdyby Polska ostatnio nie wykazała, że w walce sił duchowych jest partnerem, który nie zawodzi.

Józef Mrozowicki

U źródeł obcych wpływów

W dość licznej literaturze polemicznej, jaka narosła dokoła głośnej książki Goetla pt. „Pod znakiem faszyzmu", został bodaj że pominięty niezmiernie charakterystyczny paradoks. Oto Goetel, pragnąc w zasadzie służyć jedynie polskiej sprawie, tworząc w zasadzie koncepcję czystego „polonizmu", czystej „swojszczyzny" ideowej, wyrosłej z naszej tradycji i naszym służącej przeznaczeniom, tę właśnie koncepcję *z obca* nazywa „faszyzmem" i reklamuje ją dłonią na okładce wzniesioną *obcym* ruchem.

Nasuwa się tu nieodparcie problem tzw. „obcych wzorów" i „obcych wpływów", problem wzajemnego stosunku kultury rodzimej i wartości wyrosłych na obcym gruncie.

W tę samą problematykę, choć w nieco innym aspekcie, wprowadza nas inna książka, wydana niemal że równocześnie, mianowicie Jerzego Brauna „Zagadka dziejowa Polski". Przy czytaniu tej książki nasuwa się nieodparcie refleksja, o praktycznym już, a nie teoretycznym zabarwieniu, że praca ta, zawierająca już nie historię, ale historiozofię polskiej odrębności w przeznaczeniach i celach, ma swe bogate źródło właśnie w twórczości Hoene-Wrońskiego, a więc jednostki wprawdzie z ducha polskiej, ale umysłowo wyrosłej na zachodnio-europejskim podłożu, piszącej w obcym nam francuskim języku i kształconej w swych intelektualnych przeżyciach na tak ogólnoludzkiej i ponadnarodowej dyscyplinie, jaką jest matematyka.

I na tle tych dwóch ostatnich książek stajemy wobec tego tak aktualnego w Polsce problemu: czy obce wpływy wypaczają twórczość rodzimą, czy wzbogacają jej wartość, czy obce wzory winny być przejmowane i naśladowane w imię własnego dobra, czy też są rozkładowym produktem jałowości myśli narodowej i niewolniczego naśladownictwa.

Praktycznie mieliśmy w tej dziedzinie nie mało paradoksów, sprzeczności i niekonsekwencji, nie od rzeczy zatem byłoby rozpatrzyć ten problem teoretycznie.

Stanisław Wasylewski w swojej przemiłej gawędzie o dworze króla Stasia najsłuszniej formułuje dwa skrajne nurty, dwie przeciwne dążności, przenikające myśl i kulturę polską; to „sarmatyzm" i „cudzoziemczyzna". Znamy dobrze oba te prądy w przeszłości, przekazał nam je jak żywe polonezowy rytm wiersza Fredry, oświecone satyry Krasickiego, Słowacki i „Pan Tadeusz". Ale trzeba zdać sobie sprawę, że te same dążności, ten sam sarmatyzm i ta sama cudzoziemczyzna żyją i dziś pod różnymi formami i w zmienionych warunkach pod rozmaitymi postaciami formułują swe credo.

Można by dzisiaj sprecyzować w dziedzinie omawianego zagadnienia dwa skończone i rzeczowo umotywowane poglądy.

Pierwszy by głosił, że Polska winna zdecydowanie odżegnywać się od wszelkich obcych wpływów i obcych wzorów, gdyż pociąga to za sobą inspiracje obcych wpływów politycznych. Jak obce nowinkarstwo stawało się forpocztą obcych wpływów politycznych, jak przesłanki ideologiczne i zbieżność światopoglądowa poprzedzała powiązanie i zależności polityczne wbrew naturalnym warunkom geopolitycznym, o tym nas uczy i Europa XIX wieku i „Święte Przymierze" i dzisiejsza epoka „bloków ideologicznych". Polska upadła w znacznej mierze przez brak rodzimej kultury politycznej, a okres niewoli, to wspaniała regeneracja własnych wartości duchowych i materialnych, prowadząca poprzez myśl narodowo-powstańczą do Niepodległości.

Specjalnie dzisiaj — głosi ten pogląd — pomiędzy dwoma blokami ideologicznymi, wnoszącymi nieprzejednaną antynomię dwóch światopoglądów, do szczególnej roli urasta posłannictwo Polski, odrzucania obcych sugestii ideologiczno-kulturalnych i kształtowanie swego odrębnego syntetycznego wyrazu.

Drugie, przeciwne, stanowisko również posiada swe frapujące uzasadnienie rozumowe.

Należy się strzec — głosi drugi pogląd — obcych interesów, ale obce wzory należy użytkować dla interesu własnego. Nie jest prawdą, że separacja od pewnych wielkich uniwersalizmów jest źródłem własnych dorobków, nie jest prawdą, że odcię-

cie się od życia duchowego innych narodów daje dobre wyniki. Przeciwnie — sarmacki „polonizm" to smutne okresy ciemnoty i zacofania, a nawiązywanie do dorobku np. zachodnio-europejskiego poprzez np. humanizm, później romantyzm i ideologię emigracji wzbogacało właśnie polską, narodową i rodzimą kulturę.

Także i dziś, gdy potężne ruchy historiotwórcze przebiegają przez cały świat, znacząc się niekiedy wspaniałymi wręcz osiągnięciami, rozsądek i duch postępu każą nam przejmować te pewne formy i ujęcia ideologiczne, organizacyjne czy metodologiczne, które zdały gdzie indziej egzamin, znacząc się wspaniałymi rezultatami. Trzeba tylko przetworzyć je i przepoić duchem polskim a skuteczność ich na naszym gruncie niczym nie będzie spaczona.

Te dwa stanowiska, jakie powyżej nakreśliliśmy, które w takiej czy innej formie przenikają ośrodki myślenia politycznego w Polsce, nie są wbrew pozorom tak bardzo sobie obce i tak bardzo się wyłączające. Zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że słuszność leży pośrodku. Tak, jak zarówno sarmatyzm, jak i cudzoziemczyzna były szkodliwymi wypaczeniami, w równej mierze pętającymi swobodne drogi postępu polskiego, tak i w pozytywnym formułowaniu tych dążności jedynie droga pośrednia idzie po linii słuszności.

Niewątpliwie celem każdego narodu i jego historyczną ambicją jest wydobywanie z siebie własnych wartości, tworzenie własnej, rodzimej, potężnej kultury, która byłaby podstawą i uzasadnieniem moralnym potęgi politycznej. Ale tak jak wiecznym jest naród, tak wiecznymi są pewne prawdy ogólnoludzkie.

Ideały narodowe i ideały ogólnoludzkie w głębszym zrozumieniu nie wyłączają się bynajmniej, lecz warunkują wzajemnie; jest błędem i grzechem pierworodnym zarówno kosmopolityzmu jak i antyhumanistycznego nacjonalizmu, że ideały te stale sobie przeciwstawiają.

Nie chodzi tu tylko o teoretyczne stwierdzenie pewnych wspólnych możliwości ideologicznych narodowych i ponadnarodowych. I ściśle praktycznie istnieje ścisła współzależność między życiem wewnętrzno- politycznym w ramach jednego organizmu państwowego, a ideałami przenikającymi inne narody i państwa.

W Polsce nieraz już płaciliśmy za brak związania problemów realizmu państwowego ze zdobyczami współczesnych ruchów umysłowych, przeobrażających Europę.

Niezwykle przekonywująco dotyka tych zagadnień Stanisław Bukowiecki w swej podstawowej pracy „Polityka Polski Niepodległej".

Kiedy w całej Europie — wywodzi — od XVI wieku począwszy, obserwujemy ciągły wzrost władzy monarszej, centralizacji, stałych armii i skarbu państwowego (co przechodzi następnie w oświecony absolutyzm) zanik znaczenia szlachty i podnoszenia się miast, wtedy w Polsce, odwrotnie, przywileje szlacheckie wzrastają, upada siła zbrojna, znaczenie miast się obniża. Kiedy w dziedzinie gospodarczej rozwija się w całym świecie system merkantylny, oparty na rozwoju handlu merkantylnego, ograniczeniu przywozu i popieraniu produkcji przemysłowej, wówczas w Polsce znosi się cła wwozowe na towary przywożone przez szlachtę i zawiera się granicę państwową dla wywozu wszelkich towarów z wyjątkiem płodów rolnych.

W dziedzinie religijnej — przypomina Bukowiecki — gdy na zachodzie szalały w wieku XVI wojny i prześladowania religijne, Polska słusznie mogła się szczycić tolerancją, ale w wieku XVIII zasada tolerancji uzyskała w Europie przewagę, której najbardziej dobitnym wyrazem w świecie katolickim była kasacja zakonu Jezuitów, uważanych za główny czynnik religijnej nietolerancji, w tym samym czasie wzmaga się w Polsce duch wyłączności wyznaniowej, walka z równouprawnieniem dyssydentów staje się sprawą narodową i daje okazję wrogom zewnętrznym do interwencji w nasze sprawy wewnętrzne pod pretekstem obrony idei humanitarnych.

Te przykłady lekceważenia wagi pewnych „obcych wpływów" dają dużo do myślenia i nasuwają niejedną analogię z dzisiejszymi problemami, których już rozwijać tu nie będziemy. Wydaje nam się jednak bezsporną konieczność przetwarzania w pracy ideologicznej kierunków rozwojowych polskich impulsów i tendencji, przejawiających się w wyniku pracy również i obcej myśli.

Typowym przykładem, jak fałszywie bywa nieraz stawiana sprawa „rodzimości" kultury duchowej i politycznej, służyć może walka słowianofilów z zachodowcami w Rosji ubiegłego stulecia. Podczas gdy pierwsi w imię ideałów patriotyzmu i odrębności, słowem „nacjonalizmu", wtrącali swą ojczyznę w mroczne sekciarstwo, najstraszniejsze zacofanie i jałowy mistycyzm, stwarzające grunt pod bliski triumf materializmu, właśnie zachodowcy, wbrew pozorom, byli czynnikami narodowego postępu i rozwoju. A dodać trzeba jeszcze, że właśnie słowianofile w najgłębszej swej istocie byli naśladownictwem i kopią nacjonalizmu niemieckiego (nasuwa się tu analogia z pewnymi tendencjami współczesnego polskiego „międzynarodowego" nacjonalizmu).

Reasumując ostatecznie, gdy pragniemy znaleźć wyjście z postawionej problematyki, rodzimości i obcych wpływów, sarmatyzmu i cudzoziemczyzny, ideałów narodowych i ogólnoludzkich — to nie możemy zrobić tego inaczej, niż przez cytatę z Norwida. Powiedział on mianowicie, że „Naród... składa się z tej sfery dolnej, która go różni od drugich (narodów). I z tej drugiej, która go łączy z drugimi (narodami). Ale łączy go a nie siebie".

Naród jest bowiem tworem tak bogatym, tak różnorodnym i o takich możliwościach, że stać go równocześnie i na współdziałanie i na ekskluzywizm i na tradycjonalizm i na rewolucjonizm i na kultywowanie dotychczasowych i na przezwyciężanie zastanych formacji duchowych. W tej harmonii zmieścić się musi różnorodność alternatyw, które rozpatrywaliśmy powyżej.

Stanisława Kuszelewska Rayska

Nareszcie—ale co dalej?

Trzynastego marca, po długich i ciężkich, o jakże ciężkich i długich oczekiwaniach społeczeństwa, padły z trybuny oficjalnej słowa, które miały konkretną treść i prostą formę, *pomimo*, iż dotyczyły wychowania młodzieży. Dotychczas bowiem, magowie od pedagogiki wyrażali swe zasady przeważnie w sposób tak przejrzysty i rzeczowy, iż tak zwana młodzież antyrządowa dawała posłuch zbrodniczym namowom i chwytała za kastet, młodzież prorządowa oświadczała tępo, iż „stoi na placówce w wyścigu pracy", młodzież zaś tak zwana niezależna — załamywała ręce. Nie wiadomo, co lepsze z trojga bardzo złego. Takie bowiem „tragiczne rozdarcie irracjonalności" spowodowała nasza „kanonada podświadomej amunicji psychicznej", mówiąc stylem ogólnie teraz przyjętym.

Przemówienie senatora Katelbacha dało słuchaczom, a potem czytelnikom wyraźne poglądy, zamknięte w zrozumiałej polszczyźnie. Sen. Katelbach mówił po prostu, że dla wypełnienia koniecznych zadań, które stają przed narodem, państwo musi jak najszybciej wziąć w ręce wychowanie młodych pokoleń. W końcu przemówienia wyprowadził kilka wniosków, z których cztery wydają mi się najcelniejsze. Oto ich skróty: 1) młodzi potrzebują idei, która by stawiała przed nimi perspektywy zdobywcze; 2) młodzi dają się porwać tylko czynem, i to czynem, który w rezultacie prowadzi do przebudowy życia; 3) należy unikać werbalizmu, gdyż werbalizm jest zamaskowaniem kłamstwa (powiedziałabym raczej: „pustki" i dodałabym: „unikać jak trucizny"); 4) należy stworzyć młodzieży warunki bezpośrednich osiągnięć, nie po-

zbawiając jej wszakże zadowolenia z przełamywania oporów.

Poco to powtarzam, skoro już zostało powiedziane? Czy powiedziano mało? Czy powiedziano źle? Nie. Powiedziano wiele i dobrze. Toteż wnioski sen. Katelbacha pozwoliłam sobie powitać w tytule wykrzyknikiem: Nareszcie!

Jednakże „wiele", to nie znaczy „wszystko". I właśnie ośmielam się mniemać, że powiedziano *nie wszystko*. Dlatego pytam: co dalej? Jeśli bowiem nareszcie sformułowano zasady, to pora może poszukać dróg wykonania. Że czas nagli — nie wątpi już nikt.

A więc: rozpalić ideę i podsunąć konkretny czyn? Czy właśnie tak? Czy to wystarczy? Czy to jedno drugiemu nie przeczy? Właśnie tak, i wystarczy, i nie przeczy. Jednak pod warunkiem: *Idea musi być bardzo wielka, czyn — bardzo zwykły*. Wtedy tylko idea nasyci duszę, karmioną sianem słów i tylko wtedy czyn zmieści się w ręce, sięgającej po kastet.

Co to znaczy *wielka* idea? Znaczy: idea porywająca wyobraźnię, godna miłości i zmagań, warta dobycia pełnych sił. Idea, której promienie „zachylają się aż za widnokręg historii". Taka, którą poprzez stulecia dziedziczymy po przodkach.. Taka, którą oby wzięły po nas pokolenia.

Kaliber idei musi być potężny, albowiem tylko wtedy nada się ona do spełnienia swego zadania. Jakież jest zadanie idei? Stać się Ideałem. Czego natomiast nie wolno zrobić z ideą? Nie wolno puścić jej na pytel słów. Powinna być strzeżona i szanowana, jak znak państwowy.

Natomiast *„zwykłość" czynu* rozumiem, rzecz prosta, nie jako jego małą wartościowość, lecz jako jego dostępność, uchwytność, realność, poręczność, drobnokształtność. Jakież jest bowiem zadanie czynu? Zmieścić się w godzinach każdego dnia powszedniego. (Naprzykład: „wykuwać Polskę" to jest tak zwany „wielki czyn" i dlatego nikt go nie spełnia. Natomiast dobrze wykuć tabliczkę mnożenia, to jest czyn zwykły i dlatego spełniać go może każde dziecko szkolne. Albo wykuć dobrą podkowę to jest również czyn zwykły, drobny, powszedni i dlatego zmieści się w możliwościach każdego kowala).

Czego nie wolno zrobić z czynem, z pojęciem czynu? Nie wolno go rozdymać, bo wtedy — pęka. Nie wolno np. gardłowanie na wiecach nazywać „pracą polityczną", ani chęci zarobku per fas et nefas mianować „walką o gospodarczą niepodległość". Jeśli ideę spytlujemy na niestrawną mąkę, zaś rozdęte czyny zmienią się nam w purchawki, to wtedy... no, to wtedy będziemy mieli próbkę tego pożywienia, jakim tuczymy dziś naszą młodzież. Wobec tej diety, młodzież, łaknąc idei i czynu, żywi się sama, tym co jej w rękę wpadnie.

Należałoby natomiast dać młodzieży ideę naprawdę wielką, która by zdołała rozpalić się w sercach do temperatury Ideału. Wspaniałe hasło Marszałka Śmigłego: Podciągnąć Polskę wzwyż — jest hasłem dla nas wszystkich i znaczy w życiu codziennym: wszystko, co robimy, róbmy lepiej. Jest to dla każdego z nas wyścig z samym sobą i przez to, dla Polski, jest to wyścig (że tak nazwę) wewnętrzny. Jednakże myślę, że młodość potrzebuje ponadto wyścigu z kimś drugim, albo z wieloma innymi; potrzebuje walki. Dlatego też śmiem myśleć, że hasłu Naczelnego Wodza niczego nie ujmiemy, jeśli wydobędziemy z mroku historii tradycję jagiellońskiej Polski pracującej i tradycję tę sparafrazujemy w ideę współczesną: *My — pośród pierwszych w Europie.*

Taką właśnie ideę złożyć by należało w ręce młodych. Da im ona wyścig bez nienawiści, walkę bez przemocy, zmaganie najszlachetniejsze, bo z silniejszymi, wysiłek bez cudzej krzywdy, a ze znakomitym pożytkiem własnym. Dziedziczylibyśmy tę ideę po godnych przodkach i nienajgorszy spadek dalibyśmy następcom. Jest dostatecznie potężna, żeby rosnąć w ideał i dostatecznie płodna, żeby wywodzić ze siebie nieprzeliczone bogactwo czynu. Jest starodawna, bo pionierska; jest nowoczesna, bo promieniotwórcza. Przez szlachetny wyścig, realnie podciągnie Polskę wzwyż.

Żeby jednak nie poprzestać na haśle i nie przemienić idei we frazes (a frazes to mydło, bo „rzeźbić w mydle, to umywać ręce", jak mówi Norwid) — trzeba dać idei dostrzegalny i niewątpliwy orszak wykonalnych i dostępnych czynów. Czynów dla każdego z młodych i na każdy dzień powszedni. Wyznaczyć niełatwe, lecz wyraźne ścieżki najkorzystniejszych pod słońcem robót, które by wyładowały bujność temperamentów, zaspokoiły potrzebę wysiłku i podsunęły pod same oczy widok prawdziwych zmian na lepsze, osiągniętych własnoręcznie, choć zbiorowo. Gdzie? Czy w „polskiej rzeczywistości?" Nie, na litość boską, dosyć „syntez" i „uogólnień"; powiedzmy po prostu: osiągniętych w wyglądzie tego oto miasta, w poziomie tej a tej szkoły, w wartości tego oto szpitala, w wydajności tego oto pola lub ogrodu, w udoskonaleniu tego właśnie sklepu, w poziomie wytwórczości tej właśnie fabryki i warsztatu.

Nie wystarczy podsunięcie myśli, ani nawrócenie na nową wiarę. Trzeba stworzyć moralność czynu, rozdzielić zadania, dopilnować wykonania.

O ile poddać ideę i rzucić hasło może zarówno człowiek, jak taka czy inna grupa — o tyle organizację czynu, niezliczonej ilości drobnych, a zsumowanych czynów, rozpocząć może tylko p a ń s t w o. Oto punkt, w którym państwo wziąć powinno w ręce los młodzieży.

Dla uzdrowienia i zaspokojenia młodzieży, jak również dla pożytku Polski, wystarczy najzupełniej, jeśli głównym czynem młodzieży będzie po prostu jej p r a c a z a w o d o w a. J e d n a k ż e h o d o w a n a b e z w a r u n k o w o n a p o d ł o ż u w i e l k i e j i d e i. *Niech każdy robi swoje, po prostu to, co mieści się w dniu powszednim i w uprawianym zawodzie — ale niech robi tak, żeby sięgać po miejsce Polski pośród najpierwszych narodów.*

Czy praca zawodowa, to nie za mało? Czy sam zawód nie sprawi... zawodu? Czy wystarczy młodzieży jako czyn? Wystarczy — jeśli będzie wprzągnięty w ideologię. Jeśli zostanie uznany przez samą młodzież za służbę Polsce. Stałe podnoszenie poziomu pracy zawodowej, po to, żeby zdobyć dla Polski miejsce wśród najpierwszych narodów świata, to nie jest tak zwana szara praca, wyłącznie zarobkowa — to jest jedna z najwyższych kategorii czynu. Zwykłość jej bowiem nabierze blasku przez samo ustawienie w słońcu idei.

Wobec wyjątkowej trudności położenia geograficznego Polski i wobec wyjątkowo trudnej sytuacji politycznej w chwili obecnej, trzeba stworzyć równie wyjątkowe natężenie ideowości w kraju. Praca zawodowa powinna stać się — pogotowiem zawodowym.

Jednakże państwo, mając p r a w o w y m a g a ć p r a c y i to na najwyższym poziomie, ma o b o w i ą z e k — p r a c y d o s t a r c z y ć.

Dostarczyć zwykłej pracy zawodowej, a potem żądać wysokiego i coraz wyższego poziomu jej wykonania — oto rola państwa w rozwiązaniu bolesnej i coraz groźniejszej sprawy młodzieży. Nie ma bardziej tragicznego widoku, niż młodzież nie tylko bezrobotna, ale przede wszystkim od początku bezkierunkowa. Piętnastolatki po szkole powszechnej, pętające się w celu poszukiwania celu — i to właśnie w kraju, gdzie olbrzymie złoża pracy leżą nietknięte — to dramat zaiste groteskowy. Młodzież akademicka, po ukańczeniu niektórych fakultetów, powiększa również ten tragiczny tłum. Kiedy ruszymy w Polsce bryły nietkniętej pracy, fizycznej i umysłowej, kiedy ruszymy ją przede wszystkim po głuchych zakątkach kraju, wtedy młodzież pójdzie ławą na prowincję, a głównie na kresy. *I wtedy tam — ze zwykłych pionków, awansujemy ją na pionierów.*

Rozwiązań sytuacji szuka się już na wielu polach. Hufce Pracy, to kuracja dobra, ale z natury rzeczy dorywcza i krótkotrwała. Szkoły zawodowe przy niektórych fabrykach, połączone z warsztatami i maleńkim zarobkiem, to robota znakomita, ale zbyt szczupła w rozmiarach. Oficerska Służba Społeczna Akademika, organizowana na razie na czas wakacyjny, to pomysł pierwszorzędny, nauczy bowiem społecznego stosunku do pracy zawodowej. Robota społeczna wśród młodzieży ozonowej, to również niemało, ale stwarzając taką czy inną elitarność, zwężamy zasięg działania i jego skutki. Trzeba znaleźć rozwiązanie r a d y k a l n e i t r w a ł e, tamte inne traktując tylko jako jego przygotowanie, lub fragmetny. Jednym z przygotowań musi być również wykazanie młodzieży, iż tak dla niej bolesna kwestia żydowska, za-

cznie być rozwiązywana przez odpowiednie czynniki w sposób przyzwoity i daleki od brutalności, a jednak realny i stanowczy.

Intensywna praca zawodowa i stałe podnoszenie jej poziomu, oto czyn, do którego wezmą się bez przymusu wszyscy młodzi: ozonowcy, socjaliści, endecy i luzacy. A kto się nie weźmie, temu należeć się będzie już nie troska społeczeństwa, lecz represje.

Atmosfera C.O.P-u jest dla życia młodzieży powietrzem najzdrowszym i leczniczym. Atmosfera COP-u rozejść się powinna na cały kraj, zacząć istnieć w każdym miasteczku i wsi.

Wiem, że w tym punkcie rozumowania doszłam do sprawy finansów państwa. Tu jednak kończy się rola publicysty, a zaczyna stokroć trudniejsza: — Ministra Skarbu. Nie wiem i nie moją jest rzeczą wiedzieć, czy sfinansowanie atmosfery C.O.P-u w całym kraju jest możliwe. Wiem wszakże, iż staje się — konieczne.

Streszczam: żeby dzisiaj wychowywać młodzież, trzeba w niej rozpalić wielką ideę i dostarczyć potrzebną ilość zwykłej pracy zawodowej, po czym żądać spełnienia tej pracy w imię i niejako w ogniu tej idei.

Oto, co moim skromnym zdaniem powinno być dalej, skoro już pewne wnioski zostały w senacie wypowiedziane.

Felicjan Lechnicki

Polska i sprawa ukraińska

(2)

Trzecim wystąpieniem ukraińskim, którym chcę tutaj zająć uwagę, jest wystąpienie s. Tworydły, zasadniczo o innym charakterze. Na główne jego postulaty odpowiedziałem w pierwszej części, gdy omawiałem sprawę politycznego stanowiska narodu ukraińskiego w Państwie Polskim i zagadnienie autonomii. Szereg zwrotów tego przemówienia, jak zwroty o swojej glebie, o swoim kościele, o swoim domu, czy rodzinie, czyli to, co dotyczy kultury ukraińskiej jest dla mnie osobiście momentem bardzo cennym. Do dyskusji pozostał mi więc tylko jeden fragment. Oto p. sen. Tworydło rozpoczął swoje przemówienie od następującego zwrotu: *„Lat temu cztery przedstawicielstwo ukraińskie weszło do Izb Ustawodawczych, ażeby prowadzić walkę o prawa narodu ukraińskiego"*. Lat cztery — ja bym powiedział, że perspektywa została wzięta zbyt krótka. Ja się cofnę cokolwiek dalej wstecz. Wprawdzie nie do momentu walk 1918—1919, ani też nie do roku 1922, gdy Panowie wysunęli hasło bojkotu izb ustawodawczych, ale do r. 1928. W r. 1928 przedstawiciel UNDO, prezes Ukraińskiego Klubu Parlamentarnego poseł Dymitr Lewicki, oświadcza w Sejmie: „Ulegliśmy przemocy. Lecz nie złamani oświadczamy uroczyście, że najwyższym i niezachwianym ideałem naszym jest niepodległe zjednoczone ukraińskie państwo narodowe na wszystkich ziemiach ukraińskich. Dlatego wszystkie akty międzynarodowe, którymi odwieczne ziemie ukraińskie: wschodnia Galicja wraz z Łemkowszczyzną, Chełmszczyzną, Wołyń, Podlasie i Polesie przyznane Polsce, a mianowicie traktat zawarty w Rydze 1921 r. i decyzja Rady Ambasadorów w Paryżu z dnia 14 marca 1923 r., jako akty, którymi pogwałcono prawo ukraińskiego narodu do samostanowienia o sobie, uważamy de jure za nieprawomocne".

Oświadczenie niezmiernie ciekawe, bardzo daleko idące pod względem prawnym, bardzo wyraźne w stosunku do Państwa Polskiego.

Ale lata biegną. Już w 4 lata później w r. 1932 tenże sam Dymitr Lewicki z tejże trybuny parlamentarnej mówi już tylko o udzieleniu autonomii dla Małopolski wschodniej, czyniąc przy tej sposobności tylko formalne zastrzeżenia, że ta deklaracja reprezentacji ukraińskiej w niczym nie przekreśla oświadczenia z r. 1928.

Lata idą. Dwa lata później znowu prezes Dymitr Lewicki oświadcza: „Chwila, w jakiej obecnie znajduje się Polska, daje jej odpowiednie możliwości ustosunkowania się do sprawy ukraińskiej w duchu, odpowiadającym godności i znaczeniu obu narodów".

Od roku 1928 do 1934 minęło lat niewiele, a jednak występuje zasadnicza różnica tonu, zmiana postulatów, zmiana określeń politycznych, którymi ówczesna reprezentacja ukraińska uważała za wskazane zajmować się wówczas w polskim Sejmie.

Przychodzi rok 1934. Rok niezmiernie ciężki dla narodu ukraińskiego z paru powodów, nie łatwy i dla nas. Naród ukraiński ulega eksterminacyjnej polityce rządu rosyjskiego na Zadnieprzu. Eksterminacja idzie tak daleko, że według cyfr wówczas przytaczanych bolszewicy przyznawali się, że wywieźli z Zadnieprza ukraińskiego 4 miliony ludzi. Informacje polskie mówiły wówczas o sześciu milionach, koledzy posłowie ukraińscy mówili o dziewięciu. Która cyfra jest słuszna i ścisła, jest to obojętne, zostańmy przy cyfrze najniższej, oficjalnej, przy cyfrze dzisiejszych rządów w Rosji. Cyfra jest tak wielka, polityka eksterminacyjna tak daleko idąca, sięgająca we wszystkie przejawy życia tamtego kraju, że w żadnym wypadku nie może pozostać bez decydującego wpływu na stanowisko Reprezentacji Ukraińskiej na naszym terenie. Z drugiej strony życie nasze, życie wewnętrzne naszego Państwa, przynosi szereg wypadków i wstrząsów. Jednym z takich wstrząsów, który przedstawia społeczeństwu ukraińskiemu do czego dąży i doprowadza szaleńcza polityka części tego społeczeństwa, to zabójstwo Ministra Pierackiego. Następujący po nim proces stawia ad oculos całego społeczeństwa ukraińskiego, jakiemu rozkładowi uległo życie podziemne ukraińskie.

A później wstrząs drugi, zabójstwo dyrektora Babija, dyrektora gimnazjum ukraińskiego we Lwowie. Wówczas reprezentacja myśli politycznej ukraińskiej, dygnitarze życia ukraińskiego, zajmują niezmiernie mocne, śmiałe, poważne, męskie stanowisko, zdobywają się na silne oświadczenia. Prezydium UNDO występuje z odezwą do młodzieży ukraińskiej, stwierdzając, że „pod wpływem szkodliwej, nieodpowiedzialnej i niekontrolowanej działalności konspiracyjnej OUN. anarchizuje się, rozdrabnia i zabagnia coraz bardziej wewnętrzne życie ukraińskie". A równocześnie zakłada się stanowczy protest „przeciwko nagonce ze strony części prasy polskiej, odpowiedzialnych czynników polskich i niektórych polskich działaczy politycznych na całe społeczeństwo ukraińskie, która to nagonka zmierza do tego, ażeby odpowiedzialność za uczynki jednostek przy konspiracyjnej organizacji OUN. przerzucić na gospodarcze i oświatowe instytucje ukraińskie, na grecko-katolickie duchowieństwo czy na ogół ukraińskiej młodzieży". Aczkolwiek można by mieć zastrzeżenia co do słuszności tego drugiego punktu, jednak sam fakt wyraźnego oddzielenia się od tamtych smutnych wypadków należy traktować jako fakt wysoce dodatni.

Po śmierci dyr. Babija nie kto inny, lecz Jego Eminencja ks. Metropolita Szeptycki zwraca się do społeczeństwa ukraińskiego ze słowami: „Dyr. Babij padł ofiarą terorystów ukraińskich. Groźba strachu

wstrząsnęła całym narodem. Zabijają w zdradliwy sposób najlepszego patriotę, zasłużonego obywatela, doskonałego pedagoga, znanego i cenionego przyjaciela, opiekuna i dobroczyńcę młodzieży".

Podobne stanowisko zajmuje organ biskupa Chomyszyna „Nowa Zoria". Wydaje mi się, że tu jest właściwy punkt wyjścia do zmiany orientacji społeczeństwa ukraińskiego z tamtych dzielnic w stosunku do Państwa Polskiego. A więc eksterminizm polityczny dzisiejszego rządu Rosji na terenie od Zbrucza do Donu i te wypadki, które przedstawiają do czego prowadzi tolerowanie niepoczytalnej akcji, nieprzeciwstawianie się zbrodniczym posunięciom. Tutaj jest punkt zwrotny, który, oczywiście, odbija się i na życiu politycznym ukraińskim. Pan prezes ukraińskiej parlamentarnej organizacji, Wasil Mudryj, ówczesny, o ile się nie mylę, redaktor „Diła", pisze na łamach miesięcznika „Nowij Szlach" nr 3 i 4 z roku 1935 artykuł pt. „Od negatywizmu do realizmu".

„Jesteśmy państwowcami — ale jasnym jest, iż państwowosci w Polsce nie osiągniemy. ...Przede wszystkim możemy i musimy uświadomić sobie fakt istnienia Polski jako Państwa, które rozporządza państwowym aparatem i siłą wewnętrzną oraz bardzo poważnymi wpływami na zewnątrz. Nie wygraliśmy wojny z Polską w 1919 r., kiedy ona była bardzo słaba, pewne jest, iż nie wygramy jej obecnie, kiedy my jesteśmy niewspółmiernie słabsi, niż byliśmy w 1919 r., a Polska niewspółmiernie silniejsza. Dlatego wojny z Polską należy zaniechać... Postarajmy się w końcu znaleźć w tym cel, jakiś zrozumiały język dla porozumienia i w życiu i w polityce, ale taki język, który nie poniżałby, ale podnosiłby naszą narodową i społeczną godność".

Wydaje mi się, że w tym artykule ogłoszonym na łamach „Nowego Szliachu" prezes Mudryj zajmuje stanowisko daleko idącego realizmu w sytuacji i jest bliski właściwego wyprowadzenia wniosku— ocenia sytuację w Polsce na tle międzynarodowym.

Gdybym miał w paru słowach określić, co charakteryzuje w tej chwili sytuację w Europie, to użyłbym określenia: ustabilizowany niepokój. Pozornie contradictie in adiecto. Od paru lat jest niepokój, który dotąd nie wywołał w takiej czy innej formie wojny, lecz który właśnie ustabilizował się jako czynnik trwały. W przeciwieństwie do tego mamy w Polsce dużą stabilizację stosunków wewnętrznych, na zewnątrz zaś przestaliśmy być punktem specjalnie i wyjątkowo newralgicznym.

Ale idę dalej, dochodzę do punktu kulminacyjnego, do punktu najwyższego, że się tak wyrażę, pozytywnego stosunku reprezentacji parlamentarnej ukraińskiej do naszego Państwa. Jest dzień 14 stycznia 1936 r., dyskusja na Komisji Budżetowej nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych, p. Celewicz, przemawiając wówczas w imieniu ludności ukraińskiej, powiada: „Sądzę, że normalizacja stosunków polsko-ukraińskich, że spełnienie słusznych postulatów narodu ukraińskiego leży w interesie obrony kraju. Polityczne położenie w świecie, wyścig zbrojeń, jasne dla wszystkich cele Kominternu zagrażają w równej mierze Państwo Polskie i naród ukraiński. Wszystko to wymaga od Państwa silnej i dobrze pod technicznym względem wyposażonej armii. Armia taka jest w życiowym interesie narodu ukraińskiego i dlatego będziemy głosować za budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych".

Gdybym chciał zaprodukować tutaj na wykresie stosunek społeczeństwa ukraińskiego do Państwa Polskiego, to jako punkt wyjścia musiałbym wziąć deklarację prezesa Lewickiego z 1926 r. jako punkt drugi, wyżej, postawiłbym żądanie autonomii, na szczytowym punkcie artykuł Mudryja i to dużej wartości oświadczenie posła Celewicza.

A w chwili obecnej. W chwili obecnej punkt szczytowy stosunku narodu ukraińskiego do Państwa Polskiego przeszedł już na dół. Jesteśmy na punkcie, na którym byliśmy w r. 1932, domagania się autonomii. Gdybym miał określić politykę UNDO w stosunku do Państwa Polskiego, to bym bez większych trudności wynalazł, że w każdym nieomal posunięciu UNDO znajdzie się ślad takiego czy innego wpływu międzynarodowych stosunków. Nie mówię tego, w ujemnym tego słowa znaczeniu. Nie robię z tego zarzutu, bo nie może być zarzutem, że stosunki, które panowały i panują na terenie za Zbruczem są, powiedzmy, istotnym i ważnym elementem, jeżeli chodzi o temperaturę stosunków waszych do nas; nie z tego punktu widzenia rzecz ujmuję. Gdybym jednak miał określić politykę Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej w stosunku do Państwa Polskiego, to bym nawet nie próbował określać własnymi słowami, ale słowami ukraińskiego pisarza politycznego, może najgłębszego w tym narodzie znawcy zagadnień narodowościowych, Dymitra Doncowa, zaczerpniętymi z książki pod tytułem: „Pidstawy naszoji polityky". Autor określa tego rodzaju politykę, która działa pod wpływem afektu i uczuć, jako politykę o psychologii kobiety, politykę, która zawsze ustąpi w momencie uczuciowego nastroju przed logiką.

Jeżeli Panowie występują do nas tak często z różnymi pretensjami, jeżeli Panowie, stawiając jakiś postulat, później się żalą, że nie mógł on być zrealizowany, to jednak weźcie Panowie pod uwagę i to, że Państwo i Naród nie może brać odpowiedzialności za coś tak niestałego, nie może mieć zaufania do tego, kto prowadzi tak łamaną politykę.

Jaka będzie dalsza polityka Unda? Od r. 1936 obserwujemy cofanie się wstecz. Socjologia daje odpowiedź, że ruchy wsteczne są zazwyczaj objawem degeneracji, polityka zaś mówi, że rzeczy wielkie nie rodzą się odrazu, nie wyskakują jak Minerwa z głowy Jowisza. Dlatego ja bym raczej postawił tę rzecz z punktu widzenia historycznego i politycznego w następującej formie:

Rozpoczęliście rzecz wielką. Deklaracja p. Celewicza na Komisji Budżetowej w roku 1936 jest w moim przekonaniu historycznym momentem. Obserwując dzisiejsze załamanie, chciałbym widzieć, contra spem sperare, że to nie objaw socjologicznej degeneracji, lecz wynik przejściowych trudności wewnętrznych, które prędzej czy później właściwe swoje stanowisko, właściwe swoje miejsce znajdą. I tu powołam się na Doncowa, który mówił o różnicy między polityką prowincjonalną i polityką narodową. Ja nic innego nie chcę doradzać, jak tylko prowadzenie polityki istotnie narodowej. Twierdzę, że jeśli Panowie staniecie na stanowisku polityki istotnie narodowej, przejdziecie natomiast do porządku nad polityką prowincjonalną, to możność naszego wzajemnego porozumienia i zbliżenia będzie bez porównania bardziej realna i bardziej istotna.

Chcąc zakończyć swoje przemówienie możliwie pozytywnie, odczytam ustęp z ostatniego przemówienia szefa sztabu OZN. wicemarszałka Wendy z dn. 16 lutego 1939 r.:

„Od samego początku powołania do życia OZN. wyraziliśmy pogląd, że w stosunku do ludności ukraińskiej stoimy na stanowisku współpracy i bratniego współżycia obywatelskiego. Uznajemy odrębności narodowe i kulturalne tej mniejszości i szanujemy je, byleby nie godziły one w swoistość i całość Państwa Polskiego i nie dążyły do odgraniczania się chińskim murem nienawiści".

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Początek rozgrywki Nr 2

Paryż, 13 kwietnia r. 1939.

(z. d.) Można było z łatwością przewidzieć, że oś Berlin — Rzym nie pozostawi bez odpowiedzi ostatnich inicjatyw Londynu w Europie środkowo - wschodniej. Ponieważ ewentualne nowe akcje Niemiec wywołałyby najprawdopodobniej wojnę, rola dania odpowiedzi na poczynania Londynu przypadła Włochom. Zresztą bezpośrednie interesy polityczne i strategiczne, oraz wzgląd na prestiż rządu w kraju, nakazywał Włochom niepozostawanie w tyle za mocarstwowymi poczynaniami Berlina.

Zgodnie z przyjętą przez oś metodą, nastąpiło znów uderzenie po linii najmniejszego oporu, tym razem na Bałkanach. Zajęcie Albanii nie odbyło się jednak w podobnych warunkach, jak rozbicie w dwóch etapach Czechosłowacji: Albania nie zważając na dające się przewidzieć niepowodzenie, zaczęła się bronić. Narazie opłaciła spełnienie elementarnego obowiązku narodowego ruinami Durazzo; nie wiadomo jednak, jakie będzie ostateczne saldo rachunku, ujemne, czy dodatnie. W każdym razie strzały, które padły w Albanii, mają wielkie znaczenie dla rozwoju sytuacji politycznej na Bałkanach. Przypominają one w obecnych czasach zaciemnienia naturalnych i odwiecznych pojęć o obowiązkach narodów, że bić się należy nie tylko wtedy, kiedy rachunek sił pozwala oczekiwać zwycięstwa, lecz w każdym wogóle wypadku, kiedy niepodległość kraju jest zagrożona. Przykład Albanii powinien równocześnie podziałać hamująco na tych, co pragnęliby przewrócić Bałkany do góry nogami z taką samą łatwością jak rozebrano Czechosłowację. Bałkany posiadają zbyt bogate tradycje bohaterskich walk o niepodległość, żeby miały z niej dziś rezygnować bez wystrzału.

Bałkany znajdują się jednak w przysłowiowym stanie „bałkanizacji". Traktaty pokojowe po wielkiej wojnie nie przyczyniły się do ustalenia stosunków politycznych i uspokojenia namiętności narodowych w tym obszarze. Bułgaria nie zapomniała o Morzu Egejskim i Dobrudży, mimo traktatu przyjaźni z Jugosławią nadal myśli o Macedonii, Węgry spoglądają oczami pokrzywdzonego na Siedmiogród i Kroację. Jugosławia, gdy po zajęciu przez Włochy Albanii Adriatyk stał się włoskim Mare Nostrum, może przypomnieć sobie, że dążyła do Salonik w czasach, kiedy nie miała dostępu do Adriatyku. Wszystko to są wspomnienia i dążenia tragicznej historii Bałkanów — dla mocarstw osi, karty dla rozgrywki Nr. 2, która nastąpi teraz, po skończeniu rozgrywki czechosłowackiej.

*

W chwili, kiedy piszemy te słowa, w Londynie rozważane są warunki, w których Anglia mogłaby gwarantować niepodległość państw Bałkańskich. Ściśle biorąc, terminologia ta jest nieodpowiednia, gdyż nie tylko chodzi o gwarantowanie niepodległości państw Bałkańskich w razie, gdyby najbliższe uderzenie mocarstw osi Berlin — Rzym miało kierunek wschodni, lecz również o pomoc, jaką mogłyby dać Anglii państwa Bałkańskie w razie, gdyby oś uderzyła w kierunku zachodnim. Londyn znajduje się więc częściowo wobec tego samego problemu, który miał do rozwiązania jesienią 1935, podczas konfliktu abisyńskiego, gdy wojna Anglii z Włochami wisiała na włosku.

W roku 1935 zarówno Turcja, jak Grecja i Jugosławia, zdecydowały się podtrzymać Anglię przeciwko Włochom w akcji, która w gruncie rzeczy była agresywna. Dziś Turcja i Grecja, mimo iż są przez Włochy bezpośrednio zagrożone, pertraktują z Anglią z niesłychaną ostrożnością, a Jugosławia odnosi się do projektów Londynu z rezerwą, mogącą nawet doprowadzić do odmowy. Widać więc, że w ciągu ostatnich czterech lat Anglia straciła u wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego dobrą połowę terenu politycznego, który dawniej posiadała. Strata ta daje się dziś odczuć Anglii ze zdwojoną siłą, gdy zważyć podwójną rolę, jaką odgrywa teraz dla Anglii wschodnia część Morza Śródziemnego. W okresie konfliktu abisyńskiego Anglia musiała bronić tego obszaru jako dziedziny leżącej na jej drodze do Indyj, musiała być tu również gotowa do ataku, aby odciąć Włochy od gospodarczego obszaru Morza Czarnego. Dziś wschodnie Morze Śródziemne jest obok tego dla Anglii jedyną bezpośrednią na wypadek wojny drogą do Rumunii, dalej Polski. Droga przez Cieśniny Duńskie i Bałtyk do Gdyni w razie wojny nie może wchodzić w rachubę ze względów strategicznych. Na Śródziemnomorskiej drodze do Rumunii i Polski leżą Cieśniny Tureckie, jeszcze w roku 1935 umiędzynarodowione, obecnie znajdujące się pod pełną suwerennością Turcji, ograniczonej konwencją monteux'ską bardziej teoretycznie niż praktycznie. Zmiana statutu Cieśnin Tureckich, dokonana w roku 1936, nie jest bezpośrednim następstwem skurczenia się terenu wpływów Anglii w tym obszarze, gdyż i tak ta zmiana musiałaby prędzej czy później nastąpić. Lecz rozwiązanie sprawy otwarcia tych cieśnin dla floty angielskiej w ewentualnej przyszłej wojnie, uzależnione od stanowiska Turcji, będzie musiało mieć stygmat skurczenia się wpływów Anglii na Bliskim Wschodzie.

Przebieg rokowań Anglii z państwami Bałkańskimi stanie się we wszystkich swych szczegółach jednym więcej dowodem, jak katastrofalne rezultaty wydała dla Anglii jej polityka gotowości na jedno tylko: na ustępstwa, na wieczne ustępstwa.

*

Zajmując Albanię Włochy pogwałciły śródziemnomorskie status quo, które zobowiązały się szanować w układzie z Anglią z kwietnia ubiegłego roku. Mimo to Chamberlain zajmuje nadal w stosunku do Włoch pojednawcze stanowisko. Wywołuje to w świecie niemałe zdziwienie. We Francji nawet zaniepokojenie.

Chamberlain musi się oczywiście kierować bardzo poważnymi względami politycznymi. Nie da się jednak zaprzeczyć, że kierują nim również motywy osobistej natury. Chamberlain jest nie tylko premierem, lecz również członkiem Izby Gmin, szefem partii konserwatywnej, musi więc dbać o interesy wyborcze własne i swej partii. Nie może taksamo zapominać, że opinia nie darzy go już tym samym zaufaniem co dawniej. Po zajęciu Czechosłowacji, Chamberlain przyznał się otwarcie, że został wprowadzony w błąd przez Hitlera. Ten akt odwagi cywilnej wzmocnił jego pozycję w opinii; nie można jednak wiedzieć, czy reakcja opinii nie byłaby odwrotna, gdyby się okazało, że premier brytyjski został wprowadzony w błąd i przez drugiego z dyktatorów. Oto, niewątpliwie, jedna z przyczyn niezrozumiałego napozór zjawiska, że zajęcie Albanii uznane zostało przez rząd angielski za fakt nie naruszający śródziemnomorskiego status quo. W tym wypadku rząd angielski jest w zgodzie nawet z prasą włoską!

Włochy działają posługując się wypróbowaną przez Niemcy metodą dokonywania podbojów przy głośnym utrzymywaniu, że odbywa się to całkowicie w zgodzie z prawem. Jakież więc są powody polityczne, obok wspomnianych osobistych, dla których Chamberlain przyznaje pośrednio Włochom to rewindykowane przez nie prawo? Mówi się w kołach opozycyjnych w Anglii, że Chamberlain nie chce rozstać się z myślą o Mussolinim w roli mediatora w oczekiwanej niedługo chwili, gdy Europa znów znajdzie się o krok od wojny. Lecz jeśli takie istotnie są zamiary Chamberlaina, to jak przedstawia on sobie cenę, którą trzeba by zapłacić Włochom za ewentualną nową mediację? Dziś już wiadomo, że jeśli Mussolini odegrał rolę mediatora we wrześniu w kryzysie czechosłowackim, to dlatego, że chciał tą drogą pozyskać sobie Anglię na przewidywany dzień rozgrywki z Francją. Prasa włoska podkreślała odrazu po zajęciu Albanii przez wojska włoskie, że to posunięcie nie wpłynie na osłabienie

włoskich rewindykacyj pod adresem Francji. Naodwrót. W Rzymie daje się do zrozumienia, że ta nowa pozycja strategiczna pozwoli Włochom domagać się ze zdwojoną siłą spełnienia ich żądań. Trzeba się więc spodziewać, że gdyby Chamberlain znów zwrócił się do Mussoliniego o mediację w jakimś kryzysie europejskim, cena żądana będzie angażować interesy Francji. Otóż Francja, która do niedawna była skłonna dokonać poważnych ustępstw na rzecz Włoch w sprawie Djibuti, Tunisu i Suezu, po ostatnim uderzeniu Hitlera, w związku z wywołaną zmianą nastrojów zajęła w stosunku do Włoch stanowisko nieprzejednane.

Chamberlain wie o tym doskonale. Jeśli zajął w sprawie Albanii pojednawcze stanowisko, to miał też najprawdopodobniej na myśli co innego, niż ewentualną nową mediację Mussoliniego. Najprawdopodobniej wchodzi tu w grę Hiszpania. Wojna domowa już się skończyła, a Włochy nie wycofują ochotników, jak to parokrotnie i solennie obiecały Chamberlanowi. Znów dla niego podwójny motyw niepokoju, osobisty i polityczny; ten ostatni związany z perspektywą Hiszpanii jako bazy operacyjnej państw totalnych przeciwko zachodnim demokracjom. Możliwe więc, że Chamberlain stara się sprzedać swą bierność w sprawie Albanii za wycofanie przez Włochy ochotników z Hiszpanii.

Na ten temat uczynimy narazie tylko tę uwagę: wycofanie ochotników i gwarancje integralności Hiszpanii były już przez Anglię zapłacone Włochom „z góry" uznaniem podboju Abisynii.

*

Hiszpania ze swej strony przystąpiła do paktu przeciw Kominternowi. Akt przystąpienia mówi w ostatnim swym paragrafie, że Hiszpania rozważy w odpowiednim czasie wraz z pozostałymi uczestnikami paktu, co uczyni dla osiągnięcia przewidzianych w pakcie celów. Formuła ta pozwala Hiszpanii na bardzo szeroką interpretację obowiązków, wynikających dla niej z przystąpienia do paktu. Interpretacja ta może równie dobrze pójść w kierunku sojuszu wojskowego z mocarstwami osi Berlin — Rzym, jak i platonicznej współpracy ideologicznej.

Sytuacja gen. Franco wobec Włoch i Niemiec jest niewątpliwie niezmiernie trudna. Obecność wojsk włoskich i niemieckich na terytorium Hiszpanii nie należy do przyjemności dla jej szefa. Może się stać powodem bardzo poważnych niezadowoleń nawet wśród jego własnych zwolenników. Jednak bez pomocy oddziałów włoskich i niemieckich utrzymanie spokoju w Hiszpanii może się okazać niemożliwością. Obok tego problemu wysuwa się zagadnienie pozycji Hiszpanii w razie wybuchu wojny między mocarstwami osi Berlin — Rzym, a Anglią, Francją i ich sojusznikami. Jeśli Hiszpania opowie się po stronie państw totalnych i przystąpi do wojny, zostanie niewątpliwie poraz drugi zniszczona. Jeżeli wespół z mocarstwami osiowymi wygra wojnę, to stanie się tym mocarstwom niepotrzebna, a wówczas nie będzie mogła liczyć na pomoc gospodarczą, ani ze strony pokonanych demokracyj, ani ze strony dyktatur, które będą zajęte odbudową własnych krajów. Jeżeli natomiast Hiszpania pozostanie neutralna, zwiększy ogromnie szanse zwycięstwa bloku demokratycznego, co nie leży w interesie reprezentowanego przez gen. Franco systemu politycznego. Upadek państw totalnych może pociągnąć za sobą upadek rządów dyktatorskich w innych krajach.

W podobnych sytuacjach państwa trzymają się zwykle metody wyczekiwania. Może więc gen. Franco będzie czekał. To jest narazie najlepsze rozwiązanie, jakiego spodziewają się mocarstwa zachodnie. Przebieg działań wojennych na Morzu Śródziemnym może jednak zmusić gen. Franco do powzięcia decyzji przyłączenia się do jednej ze stron walczących, już nazajutrz po wybuchu wojny. Mówi się często, że przyszła wojna będzie wirem, który szybko wciągnie w otchłań wszystkie państwa świata. Hiszpania znajdzie się odrazu niemal w centrum tego wiru.

Paweł Jasiński

Na marginesie dyskusji o młodzieży rzemieślniczej

Korzystając z cyfr, podanych w interesującej książce p. Zbigniewa Ehrenberga p. t. „Istota — ustrój — granice gospodarcze i społeczne rzemiosła" (Warszawa 1938), określimy liczbę czynnie zatrudnionych rzemieślników, zarówno w przemyśle rzemieślniczym, jak i fabrycznym oraz chałupniczym, na półtora miliona. Wysokość rocznej liczby „rekrutów" do tej armii szacowana jest na 3 — 3,5% jej ogólnej liczebności tj. na 50 tys. ludzi. Jest to cyfra jak na nasze stosunki bardzo poważna, tym więcej, że w miarę rozwoju uprzemysłowienia kraju będzie wykazywać ona ustawiczną tendencję rosnącą.

A teraz druga liczba. Wg danych Izby rzemieślniczej zarejestrowanych oficjalnie terminatorów jest w chwili obecnej nieco więcej ponad 40 tys. Ponieważ okres nauki trwać powinien przeciętnie lat trzy, więc na jeden rok wypada 13 — 14 tys. nowoprzyjętych uczniów. Jednocześnie szkoły zawodowe, również przygotowujące przyszłych rzemieślników, wypuszczają rocznie nie więcej niż połowę wyżej wymienionej sumy. Pewną ilość rzemieślników szkoli sobie bezpośrednio przemysł. Łącznie dopływ młodzieży z tych trzech źródeł — optymistycznie licząc — wynosi około 25 tys., a więc zaledwie 50% kontyngentu rekrutacyjnego rzemiosła, określonego przez Ehrenberga na 50 tys. ludzi. Oznacza to, że druga połowa tego kontyngentu znajduje naukę i zatrudnienie w rzemiośle pokątnym i chałupnictwie, w warunkach, nie zapewniających niczym, że uczeń taki, traktowany przede wszystkim jako tania siła robocza, nie powiększy po paru latach zdeklasowanej masy półwykwalifikowanych robotników.

Stan powyższy wywołany jest w znacznej mierze faktem, że legalne rzemiosło, które daje znacznie lepsze gwarancje wykierowania terminatora na fachowego rzemieślnika, niechętnie przyjmuje uczni, zasłaniając się ciężkimi warunkami, jakie nakłada na majstrów obowiązujące ustawodawstwo. Majster bowiem, który bierze do swego warsztatu uczni, nie ma prawa pobierania opłaty za naukę, przeciwnie — jest natomiast obowiązany opłacać terminatorów. W stosunku do powyższej zasady zostały co prawda ustalone w r. ub. pewne wyjątki, mianowicie wydane zostało rozporządzenie, w którym ustalono szereg rzemiosł precyzyjnych, jak jubilerstwo, zegarmistrzostwo itp., w których wolno pobierać opłaty za naukę, ale jest to zdaje się ustępstwo ostatnie. Dalej majstrzy są związani tym, że liczba terminatorów jest uzależniona od ilości zatrudnionych przez nich czeladników.

Z kół rzemieślniczych coraz częściej padają głosy, że należy znieść te wszystkie zakazy i utrudnienia, a wówczas liczba terminatorów szybko wzrośnie i problem przygotowania fachowego narybku w tej dziedzinie gospodarstwa narodowego zostanie automatycznie rozwiązany. Nie rozpatrując zupełnie argumentów socjalnych, które miały decydujący głos przy formułowaniu streszczonych wyżej przepisów, wydaje się, że wystarczy operować przesłankami czysto gospodarczymi, by uznać głosy rzemieślnicze za słuszne i nadmiernie ułatwiające rolę, jaką powinno rzemiosło w szkoleniu młodzieży odegrać. Rozpatrzmy po kolei wysuwane przez sfery rzemieślnicze postulaty.

Zniesienie zakazu przyjmowania przez majstrów opłaty za naukę. — W wypadku zrealizowania tego żądania powstałaby w praktyce taksa za naukę, poniżej której rzemieślnicy nie przyjmowaliby uczni do warsztatu. Wpłynęłoby to ograniczająco na liczbę terminatorów w sposób zupełnie mechaniczny, nie uwzględniający zdolności elementu, pragnącego się poświęcić rzemiosłu itp.

Zniesienie obowiązku opłacania terminatorów przez majstrów. — Uwzględnienie postulatu powyższego wywołałoby masowe bezpłatne zatrudnianie młodocianych przez rzemieślników w celach produkcyjnych. Ponieważ postanowiliśmy nie wspominać o motywach ochrony socjalnej, ograniczamy się do stwierdzenia, iż przy zbyt wielkiej ilości uczniów w jednym warsztacie nauka stałaby się całkowicie iluzoryczna.

Wreszcie zniesienie reglamentacji liczby uczniów w stosunku do czeladników. Za obroną reglamentacji przemawia przede wszystkim konieczność regulowania dopływu uczni do poszczególnych rzemiosł ze względów ogólnogospodarczych, gdyż w szeregu gałęzi, jak np. krawiectwie, szewstwie itp. istnieje nadmiar rzemieślników. Wreszcie reglamentacja chroni czeladników, którzy w wypadku jej zniesienia zniknęliby prawie zupełnie z warsztatów, zastąpieni przez uczni. Ci z kolei znaleźliby się po pewnym czasie w tej samej sytuacji „niepotrzebnych ludzi". Kosztem doraźnej korzyści materialnej rzemiosło podcięłoby

swą egzystencję. Jednym z dalszych argumentów że utrzymaniem reglamentacji jest wspomniana już konieczność ograniczania ilości uczniów w stosunku do wielkości warsztatu poto, by mogli oni korzystać z nauki. Oczywiście jednak reglamentacja powinna być znacznie elastyczniejsza i dostosowana do bieżących potrzeb gospodarczych, niż dziś. Naprzykład normy w zakresie przetwórstwa metalowego, odczuwającego brak wykwalifikowanych pracowników, nie mogą być takie same, jak w tych gałęziach rzemiosła, w których niedosytu niema lub też daje się odczuwać w znacznie mniejszym stopniu.

Argumenty, które powyżej zostały użyte, nie są oczywiście żadną rewelacją — w niejednej dyskusji już nimi operowano. Warto je jednakże dziś przypomnieć, skoro pod wpływem potrzeb, wynikających z koniunktury i zmian strukturalnych w gospodarstwie polskim, problem szkolenia młodzieży rzemieślniczej staje się coraz bardziej palący, a z pewnych kół wysuwa się sugestie, że trudnościom można zaradzić w sposób tak łatwy i prosty...

W rzeczywistości sprawa jest znacznie trudniejsza i skomplikowana. Ogromna większość młodocianych pracowników, zatrudnionych w legalnym i nielegalnym rzemiośle, których liczba przekracza kilkakrotnie oficjalnie zarejestrowaną liczbę 40 tys. terminatorów, nie nabędzie w obecnej sytuacji żadnych kwalifikacji, powiększając jedynie masę chałupników lub sproletaryzowanych rzemieślników. Jak temu zapobiec?

W poważniejszej publicystyce gospodarczej wysuwane są projekty załatwienia tej sprawy przez uznanie wszystkich pracowników młodocianych za uczni, przez ustalenie obowiązku doprowadzenia czeladnika do egzaminu przez majstra itd. Jest to zdaje się jedyna słuszna droga ale—stwierdźmy to szczerze — zawiera ona nowe obciążenia dla rzemiosła. Reforma terminu, zmierzająca w tym kierunku, musiałaby być więc skompensowana częściowym zliberalizowaniem tych przepisów ustawodawczych, na które rzemiosło obecnie narzeka, a w pierwszym rzędzie wprowadzeniem pewnej formy rozrachunku między majstrem i terminatorem w postaci ustalenia okresu bezpłatnej pracy ucznia, jako opłaty za naukę. Jest to rozwiązanie kompromisowe, zawierające stosunkowo mało tych ujemnych stron, o których wspomnieliśmy na początku artykułu, a respektujące jednocześnie interesy majstrów rzemieślniczych. Zmiana taka w połączeniu z poprzednimi, nałożonymi na rzemiosło, obowiązkami zapewniłaby bardziej normalny przyrost wykwalifikowanego narybku dla rzemiosła i przemysłu.

NOTATNIK POLEMICZNY

TADEUSZ NOWAKOWSKI

Kokietowanie bezsiłą

O jednej z chorób młodej literatury

Dziś, kiedy już nawet na takie ważkie i żarliwe zagadnienia społeczno-państwowe jak sprawa dr. Judyma i sprawa Cezarego Baryki, patrzymy trochę inaczej, nasza współczesna poezja roi się jeszcze od „tragicznych pokoleń" i „tragicznego piętna"...

Że to niby im (Miłosz) nad kołyską szrapnele, wybuchały, więc patrzą w lustro, czy nie mają piętna na twarzy.

Papierowe tragedie! Co za młodość tragiczna"? Co za „wolność tragiczna"? Co za „pokolenie tragiczne"?

„Co warta jest młodość, gdy jest młodością tragiczną? — gorzko zapytuje jeden z młodych wierszopisów w radomskich „Żagwiach".

Zdrowy rozsądek i poczucie patriotyzmu każą to cierpiętnicze drapowanie się w garderobę królewicza duńskiego uważać li tylko za bezmyślną ozdóbkę, za nieświeży zwrot retoryczny, roszczący sobie zarozumiałe pretensje do spotęgowania ekspresji poetyckiej.

O, dziadek tego pana, mógłby tak zapytać, gdyby na przykład jako chłopiec żegnał ojczyznę, idąc na Sybir. Ale wnuczek, który kropelki krwi nawet nie utoczył dla przybliżenia tej wolności? Ciesz się, projekcie na lutnistę, że w ogóle wolno ci dziś po polsku mówić. Twój ojciec na pewno był prześladowany za ten język, którego dziś nadużywasz.

Śmiem twierdzić, że w tego rodzaju tragizujących utworkach często mamy do czynienia ze świadomym fałszowaniem rzeczywistości. Ta sfałszowana rzeczywistość służy potem jako zapłodnia poetycka i jako legitymacja, upoważniająca ex post do zabrania głosu. Tyczy, to zwłaszcza poetów minorum gentium, haselkujących i rozdzierających czerwone sztuki pod chorągiewką tzw. poezji proletariackiej.

„My jesteśmy — pisał przedwcześnie zmarły Uniłowski („Wspólny pokój") — młodzieżą okresu, w którym normalne zazwyczaj objawy młodości są skryte, zwiędłe. Wyłaniają się one dopiero pod wpływem narkotyku, olbrzymieją i kwitną... Oczywiście, nie wszyscy młodzi ludzie piją, ale wszyscy są diabła warci w porównaniu w dwoma pokoleniami wstecz. Tak, moi drodzy, społeczeństwo nie będzie miało pociechy z tych przedwcześnie wyprutych z wariactw młodości bubków. Pomogła temu w lwiej części wojna..."

Tak, ale... to przecież rówieśnicy nieżyjącego dziś pisarza pracują jako inżynierowie przy budowie Centralnego Okręgu, sieją jako lekarze na Piaskach i stanowią kwiat oficerstwa polskiego; pokolenie powojenne wejdzie w życie dopiero za parę lat.

„Pokolenie bez idei" — pisze we wspomnianych już „Żagwiach" St. R. Dobrowolski — „Rzucone w próżnię historyczną...", „aspołeczne, apolityczne, amoralne..." itd.

Dramat waćpan układasz! Zaliż to nie zwykłe literackie kolekcjonowanie przymiotników? Należało by się, sądzę, obrócić twarzą do życia i zbadać: co na prawdę robią dziś trzydziestoparoletni ludzie w Polsce? Jaki jest ich udział w budowaniu siły państwa?

Nie trafia mi też nigdy do przekonania ten tak często sztucznie rozdmuchiwany (dla łatwego usprawiedliwienia niedołęstwa?) „fatalizm wojny", zawieszający „w próżni historycznej" (!) naznaczone pokolenia.

(Nie tylko wojnami tłumaczy się wszelkie nie dociągnięcia moralne. Istnieje także inny równie przyjęty, sposób: patrzy się na kalendarz. Gdy nie daleko do końca stulecia mówi się wyrozumiale: „biedni schyłkowcy, oni niewinni!...").

Dobrowolski i wielu innych mówią o braku idei w „tragicznym pokoleniu". Nie trzeba być nawet takim uroczym optymistą jak Wańkowicz, aby obiektywnie stwierdzić, że pracą tego „amoralnego" i „aspołecznego" pokolenia bezideowego stają dziś dzieła, o których przyszły polski historyk pisać będzie po wiekach z uczuciem dumy.

Nie psujmy sobie nerwów i humoru budowaniem niebudujących legend o czasach niezwykłych i piętnach tragicznych.

Niezwykłość każdego czasu należy do jego cech najzwyklejszych!

A na osłabianie odporności psychicznej kokieteryjnym tragizowaniem nie pora.

Zwłaszcza teraz, gdy się taką wagę przywiązuje do brojeń kulturalnych i nie tylko kulturalnych.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Handel prywatny a spółdzielczość

(aa) Indywidualny handel polski, przeżywą w chwili obecnej swój renesans zarówno pod wpływem ogólnej poprawy koniunkturalnej, jak też dzięki rozszerzeniu swego zasięgu wpływów w związku z realizowaną od paru lat coraz intensywniej akcją unarodowienia. Ma w tej chwili dobrą prasę, rozporządza oparciem w t. zw. sferach miarodajnych, korzysta z różnych form pomocy społecznej. W tych warunkach co najmniej dziwne się wydają częste agresywne wystąpienia przeciwko spółdzielczości, jakie mają miejsce wśród przedstawicieli organizacji kupieckich. W wystąpieniach tych zarzuca się spółdzielczości, że korzysta ze specjalnych ulg podatkowych. że dysponuje lepiej zorganizowanym aparatem kredytowym, że jest wreszcie beniaminkiem pewnych kół społeczno-politycznych, które ułatwiają jej prowadzenie akcji organizacyjno - handlowej.

Kupiectwo, atakując spółdzielczość za to, że korzysta z szeregu udogodnień, często zresztą przygotowanych własną pracą i zapobiegliwością — np. wspomniany aparat kredytowy— dąży samo do osiągnięcia tychże pozycji. Jest to więc atak oparty na podłożu konkurencyjnym i jako taki psychologicznie zrozumiały. Nazwałem go dziwnym dlatego, że znacznie większe korzyści handel indywidualny mógłby osiągnąć, kierując więcej energii na zaniedbane dziedziny organizacyjne na swoim terenie wewnętrznym.

Jedynym istotnym punktem, wymagającym szczegółowego uzupełnienia, jest sprawa uprzywilejowania podatkowego spółdzielczości. Sprowadza się ona do zagadnienia, czy spółdzielnia jest — z punktu widzenia oddawanych usług gospodarczych — takim samym kupcem, jak kupiec indywidualny, czy też nie. Sfery kupieckie stoją oczywiście na stanowisku, że różnicy istotnej niema, a więc dyskryminacja podatkowa handlu prywatnego nie jest uzasadniona. Koła spółdzielcze znowu ujmując przeciwieństwa w sposób doktrynerski wyolbrzymiają je do tego stopnia, iż pod ich zwałem gubi się często gospodarczy sens pośrednictwa.

Nie wgłębiając się w te rozważania, stwierdzę to co jest bezsporne, a więc, że spółdzielnia jest kupcem, i jako taka powinna podlegać tym samym obciążeniom co kupiec indywidualny. Koszt społeczno - gospodarczy pośrednictwa spółdzielczego nie powinien być wyższy niż pośrednictwa prywatnego. Z drugiej strony jednak spółdzielnia poza pośrednictwem spełnia szereg funkcji społecznych, które nie ciążą na kupcu indywidualnym i z tego tytułu może korzystać z pewnych ulg, które pozwolą jej na realizację tych celów pozakupieckich.

Tłumacząc te wywody na język praktyczny, system sztywnych ulg podatkowych dla spółdzielczości należałoby zamienić na system elastyczny, przy czym spółdzielnie źle i drogo pracujące, nieżywotne, z preferencji korzystać by nie mogły. Nie należy bowiem popierać tych ogniw pośrednictwa, które nie mają swego gospodarczego uzasadnienia.

Jeszcze o protektoracie czesko-morawskim

(aa) Wypadki polityczne biegną tak szybko, że problemy, które stanowiły ośrodek zainteresowań w dniu wczorajszym, dziś przesuwają się na b. daleki plan, choć nie zostały jeszcze rozpoznane i omówione. Pomimo, że prasa codzienna zajmuje się ze spraw gospodarczych już wyłącznie naftą arabską i ew. zdobyczami surowcowymi Włoch w Albanii, chcę zwrócić uwagę na szereg źródłowych i dokładnych cyfr, podanych w artykule dra Karola Thelera, zamieszczonym w kwietniowym numerze „Przeglądu gospodarczego" na temat zdobyczy niemieckich w Czechach i Morawach, oraz na Śląsku czeskim.

Wytwórczość tych trzech krajów w ich obecnych granicach wynosiła wg danych z 1937 r. 7,6 milj. t. węgla kamiennego, 43 tys. t. rudy manganowej, 100 tys. t. rud srebra, ołowiu i cynku, 745 tys. t. rudy żelaznej, wreszcie ok. 50 tys. t. ropy i 1,3 milj. m³ gazu ziemnego. Dodać do tego trzeba produkcję Słowacji, która stać będzie otworem dla Trzeciej Rzeszy, a która wynosiła m. in. 770 tys. t. rudy żelaznej, 63 tys. rudy manganowej oraz 60 tys. rud srebra, ołowiu i cynku. W porównaniu z olbrzymim zapotrzebowaniem Niemiec na rudy, zdobycze te są bez większego znaczenia, choćby nawet nastąpiło pewne wzmożenie wytwórczości tych surowców.

Natomiast bardziej istotnym osiągnięciem dla gospodarki niemieckiej jest opanowanie przemysłu czesko-morawskiego. Trzecia Rzesza będzie mogła przynajmniej chwilowo odciążyć swój wyzyskany aż do ostatnich możliwości produkcyjnych aparat przemysłu. Przede wszystkim idzie tu o wielki przemysł wojenny z zakładami Skoda na czele. Ta gałęź przemysłu czeskiego jest wobec niezmniejszających się potrzeb zbrojeniowych Niemiec szczególnie ważnym uzupełnieniem ich wytwórczości.

Dalszym odciążeniem dla Rzeszy są zdaniem dra Thalera rezerwy siły roboczej w Czecho - Słowacji. Brak robotników w Niemczech stał się w ciągu ostatnich tygodni zagadnieniem dotkliwym i doprowadził m. in. do przedłużenia czasu pracy w górnictwie. Dlatego też w Niemczech oczekuje się niecierpliwie dopływu robotników z nowych terytoriów, zwłaszcza po zdemobilizowaniu armii czechosłowackiej, naskutek czego wielu ludzi znalazło się bez zajęcia.

Zwróciłem uwagę na te dwa punkty, gdyż zazwyczaj się je w prasie polskiej pomija. Są niewątpliwymi plusami, jednakże właśnie one niosą w sobie zarodek trudności. Nadzieje Rzeszy na zwiększenie wytwórczości krzyżuje bowiem sprawa importu surowców i eksportu wyrobów gotowych. Przywóz surowców do Czecho-Słowacji wyniósł w r. 1937 6,3 miliardów koron, wywóz tylko 2,4 miliarda. Natomiast eksport wyrobów gotowych wyniósł w tym samym czasie 8,6 miliardów przy 3,3 milj. przywozu. Te cztery cyfry zamykają w sobie symbol tych wszystkich kłopotów, które nękają dziś gospodarkę niemiecką. Włączenie Czech i Moraw pomimo pewnych doraźnych korzyści kłopoty te w dalszej perspektywie jedynie spotęguje.

PRZEGLĄD PRASY

Ś. P. Pułkownik Walery Sławek

Tragiczny zgon pułkownika Sławka wstrząsnął głęboko całą Polską, dotykając najsilniej wszystkich tych, którzy mogli się zetknąć bliżej, poznać i ocenić niezwykłą szlachetność, odwagę, poświęcenie i bezinteresowność tej jednej z najpiękniejszych postaci Polski współczesnej:

KURJER PORANNY (nr. 95) kreśli sylwetkę Zmarłego w następujących słowach:

„Są zgony, które o ciszę proszą, które z trudem znoszą zgiełk i gwar ziemskiego głosu. Nietaktem wobec nich byłoby roztaczać pompę żałobnego banału. Takim zgonem była tragiczna śmierć pułkownika Walerego Sławka. Surowe było życie Jego, surowy obyczaj panować musi dokoła Jego trumny i grobu.

Pokolenia, które w wolnej Polsce dojrzewają, nie zdadzą sobie może w pełni sprawy, w jak dramatycznych warunkach, w jakiej męce i trudzie wyrastały i krzepły takie postacie, jak Walerego Sławka. Nie mógł ich wydać na świat żaden inny kraj, jak tylko Polska. Polska, żyjąca w niewoli, lecz o wolność walcząca. Polska heroiczna i męczeńska, nieugięta i dumna, mająca już tylko jedną wartość na ziemi: swój honor narodowy, którego strzegł zastęp nieustraszonych i wierzących przeciw wszystkim bojowników, zmuszonych bez złotych szyszaków i bez pióropuszów borykać się i ginać w podziemiach za Tę, co nie zginęła.

Takim bojownikiem, rewolucjonistą i konspiratorem, niepodległościowcem i więźniem politycznym był w okresie niewoli Walery Sławek, zwany Gustawem. Należał do tych, którzy dla idei wyzwolenia Ojczyzny poświecili wszystko: szczeście osobiste i rodzinne, siebie samego, życie.

Sławek oddany był bez reszty Polsce i Piłsudskiemu. Był wiernym, posłusznym żołnierzem swego Komendanta. Był takim w okresie niewoli. Pozostał nim w wolnym państwie polskim. Oddanie Piłsudskiemu stanowiło istotę Jego duszy i charakteru. Dawało mu zupełny spokój ducha, podtrzymywało niezłomnie Jego twardy, do uporu prowadzący, charakter, pozwalało mu znosić z wyniosłą obojetnością objawy niepopularności i niecheci. Jego też przede wszystkim wybrał Piłsudski na wiernego wykonawcę swoich planów w polityce wewnętrznej, gdy po zamachu majowym objał w Polsce władzę.

Zawcześnie dziś mówić o działalności Sławka, jako polityka w Polsce odrodzonej. Wiemy, jak krytycznie wyrażał się w końcu o zorganizowanym przez siebie B. B. W. R. Natomiast zasługą Jego niewatpliwą był współudział w pracy nad wydaniem nowej konstytucji, której uchwalenie uważał za jeden z głównych swoich sukcesów życiowych.

Śmierć Józefa Piłsudskiego wstrząsnęła do głębi duszą, która z tamtego wielkiego żaru czerpała dla siebie życiodajne ciepło. Nie naszą jest rzeczą dziś zwłaszcza wydawać sąd o tych latach ostatnich.

Wiemy jednak, że życie nie znosi próżni. Nawet śmierć Józefa Piłsudskiego nie mogła powstrzymać dalszego biegu spraw państwowych, powstawanie nowych zagadnień, konieczności szukania odpowiedzi na nowe pytania. Tempo wypadków stało się fantastyczne. Każdy rok zaczął przynosić więcej zmian, niż dawniej dziesięciolecia. Wysunęły się przecież przed nami sprawy, które nie istniały jeszcze za życia Komendanta. Powstały nowe potrzeby i nowe obowiązki.

Czy pogrążeni w rozpaczy mieliśmy patrzyć na nie bezradni i w bezruchu? Czy potrzeby kraju nie wymagały nowych wysiłków tym większych, że nie stało już Piłsudskiego? Czy nie wymagały też nowych metod pracy, odwołania się do całego narodu, wciągnięcia do pracy państwowej warstw nowych? Czy konstytucja kwietniowa, stwarzająca pierwszorzędną organizację państwa, mogła uwolnić nas od pracy nad ideową organizacją narodu?

Wypadki ostatnie, wstrzasające podstawami Europy, potwierdzaja słuszność obranej po śmierci Józefa Piłsudskiego drogi, która ma wieść nie tylko do utrzymania dziedzictwa Piłsudskiego, ale do rozwoju Jego spuścizny, tak, jak to przykazuje właśnie konstytucja kwietniowa.

Czy te pytania stawały też przed Sławkiem? Czy one dyktowały mu trzymanie się na uboczu, a w końcu zupełne wycofanie się z polityki?

Nie szukamy na wątpliwości te odpowiedzi. Nie czujemy się powołani do interpretowania Jego intencyj i myśli. Tragiczny zgon Walerego Sławka zamyka w każdym razie ważną, w swoistym stylu ujętą kartę naszego życia wewnętrznego.

Dla Polski, dla narodu odszedł dziś przede wszystkim Gustaw, stary konspirator-bojowiec, jeden z wyrazicieli tego pokolenia, które wolność w krwawym niepojetym trudzie wywalczyła. Z ich nieustraszonej walki wyrosła Polska. Tradycje strzeżonej przez nich w latach młodości godności narodowej, honoru narodowego, przejma w szcześliwszych warunkach pokolenia następne".

»Wracamy na stary nasz szlak«

W rozważaniach świątecznych na pytanie, czym my, Polacy, jesteśmy i dokąd idziemy, POLSKA ZBROJNA (nr. 98) dochodzi do następujących wniosków i konkluzji:

„Ostatni rok wykazał nam niezbicie, że maszerujemy drogą zwycięstw, że jesteśmy silni i po żołniersku gotowi. Pod wpływem wypadków z zewnątrz cały nasz naród przyjął postawę na baczność i już sama ta postawa przyniosła nam sukcesy. Ale wiemy dobrze, iż Zmartwychwstanie nasze to nie tylko koniec wielkiego postu — niewoli. Naród nasz jest głęboko wierzący, czuje i wie, że święto Wielkiej Nocy to wieczne odradzanie się, to dążenie do coraz lepszych doskonalszych form.

Miejsce nasze na ziemi dał nam sam Bóg. Wsparł nas o łańcuch górski i dał nam drogę w świat szeroki — własny brzeg morski. Szczodrą dłonią zasiał w serca nasze zdolności tworzenia, wyposażył w skarb twardych żołnierskich cnót poświęcenia, odwagi i męstwa. Kazał nam przodować w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości.

W marszu ubiegłej doby zboczyliśmy z drogi. Ale niezłomna wola Odnowiciela naszej Ojczyzny naprowadziła nas znów na nasz kierunek właściwy. Przed laty dwudziestu osiągnęliśmy cel niezbędny: niepodległość, odrabiamy rok za rokiem, wiekowe zaległości.

Na drodze naszej czeka nas dziś etap następny, nowe odrodzenie do celów wyższych. Zwano nas kiedyś przedmurzem cywilizacji i my bezmyślnie powtarzaliśmy to hasło. Czyż byliśmy przedmurzem, przedpolem dla harców z barbarzyńcami, a murem miałyż być inne, za naszymi plecami żyjące narody? Kłamstwo. W złotym wieku naszej wielkości my byliśmy tym murem właśnie i byliśmy nie tylko twierdzą, ale i pochodnią światła. To my kazaliśmy słońcu w miejscu stanąć i myśmy ziemię z posad wzruszyli.

Jesteśmy największym z narodów słowiańskich, które światło cywilizacji wzięły z zachodu. Wzięliśmy je przed lat tysiącem, ale już na lat tysiąc przedtem, czy się to podoba komu czy nie, mieliśmy na swej ziemi własnej, własną i starą, swoistą i wysoką kulturę.

Wracamy na stary nasz szlak. Będziemy nie przedmurzem, a strażą przednią, kolumną szturmową walczącej o lepszą przyszłość, o ideały, ludzkości. Kończmyż szybko z odrabianiem zaniedbań. A jeśli w dniach klęski stać nas było, by wnosić nasz wkład do skarbca dóbr wszechludzkich, tym bardziej szczodry będzie nasz dar w dniach zwycięstwa.

Zmartwychwstaliśmy młodzi.

W promieniach wschodzącego słońca wielkiej przyszłości znika obraz Polski dawnej, widok pazurami zagrzebanego w ziemi strzelca, szukającego w niej przed gradem kul osłony. Rodzi się obraz Polski nowej — tyraliery, którą poderwał głos komendy „wskok".

Czy widzicie, jak olbrzymimi susami biegnie ona prosto w cel wskazany? Bagnety jej lśnią zwycięstwem!"

Czyż można jeszcze uratować pokój?

Ostatnie posunięcia mocarstw zachodnich na północy (pakt polsko-angielski) i na południu (akcje w basenie Morza Śródziemnego), mające na celu stworzenie linii obronnej, zdolnej uniemożliwić dalsze fakty dokonane ze strony mocarstw „osi" za każdą cenę, nawet za cenę wojny, sprawiły, że sytuacja międzynarodowa weszła w stadium rozstrzygające. Na pytanie: czy w takich warunkach da się uratować pokój? — ILUSTROWANY KURJER CODZIENNY (nr. 101) odpowiada:

„Szanse pokoju europejskiego nie znikły bynajmniej, mimo, że atmosfera naładowana jest tak elektrycznością, że każdej chwili paść może grom. Najbliższe dni muszą nam przynieść odpowiedź na to, czy mocarstwa osi, które osiągnęły w ciągu ostatnich tygodni tak ogromne zdobycze, zamierzają się niemi zadowolić i rozpocząć okres normalnej pracy pokojowej, czy też cała ich akcja jest tylko wielkim wstępem do nowych przedsięwzięć zdobywczych.

Za tą ostatnią hipotezą przemawia formalnie prawie wszystko, co się w tej chwili dzieje. Przeciw niej przemawia tylko jeden, ale za to bardzo wyraźny fakt, widoczny niewątpliwie i w stolicy obu mocarstw osi: jest to zasadnicza zmiana całej prawie Europy, jaka dokonała się w ciągu ostatnich tygodni.

Dowodzi ona, że państwa europejskie zarówno wielkie, jak i małe, gotowe są dla utrzymania pokoju pogodzić się z wielkimi korzyściami osiągniętymi przez państwa osi, ale że nie pozwolą już na stworzenie nowych faktów dokonanych.

Mocarstwa osi mają w tej chwili przed sobą dwie możliwości: albo powrót do normalizacji stosunków i to powrót zabezpieczony realnymi gwarancjami, bo w słowne nikt już w tej chwili nie wierzy, albo też — wojna. Europa wojny nie chce, ale nie chce także pokoju za senę — kapitulacji".

Pakt polsko-angielski

WIECZÓR WARSZAWSKI (nr. 102) charakteryzuje pakt polsko-angielski w pięciu słowach: dwustronny, równorzędny, ścisły, obronny, gwarantujący samodzielność:

„Dwustronny — to znaczy przed wszystkim jasny i wyraźny. Nie wywodzi się z mglistej formuły „zbiorowego bezpieczeństwa", formuły, będącej zbyt często tchórzliwą ucieczką od wyraźnych zobowiązań. Dwustronność odpowiada z bezwzględną precyzją na wszystkie: kto, jak i kiedy? Lepiej mniej obiecać, ale wszystko wykonać.

Równorzędny — to znaczy nie przyjmujący żadnych podarunków. Wszystko jest nie tylko przewidziane, lecz i odważone w rachunku cyfr, sił i możliwości. Pomoc płaci się pomocą. Cenę krwi można tylko krwią uiścić.

Ścisły, czyli oparty przede wszystkim na prawdziwym i wysokim wzajemnym zaufaniu obu stron. Każda ze stron pozostawia drugiej decyzję, co i kiedy oznaczać będzie bezpośrednie lub pośrednie zagrożenie niepodległości. Szeroka formuła „bezpośrednie i pośrednie zagrożenie" — to równocześnie rewaloryzacja słowa i honoru w stosunkach międzynarodowych.

Obronny — a więc szczere i prawdziwe dążenie do stabilizacji pokoju. Układ polsko-angielski nie zwraca się przeciw nikomu, nie sięga po cudze, nie zamierza „okrążać". Chce tylko zabezpieczyć swoje stałe i niezmienne miejsce pod słońcem i na wszelkie apetyty odpowiada krótkim: Stop — ani kroku dalej!

Gwarantujący niezależność — czyli samodzielność działania. Nikt nie dyktuje, ani Rosja, ani Niemcy. Pakty o nieagresji pozostają dalej w swojej mocy".

Określiwszy dojście do skutku paktu polsko-angielskiego jako pewnego rodzaju przełom o znaczeniu historycznym, w polityce angielskiej, KURIER WARSZAWSKI (nr. 97) zwraca uwagę na błędy, jakie w ocenie polityki angielskiej popełniły Niemcy:

„Odnosi się dziś wrażenie, iż polityka niemiecka oszołomiona triumfem nadzwyczajnych sukcesów kanclerza Hitlera, sukcesów w rozumieniu niemieckim tym wspaniałszych, iż osiągniętych bez dobywania broni, nie ustrzegła się pewnych błędów. Uznała dobrą wolę Anglii za objaw słabości i niezdolności działania. Widoczna zmiana kursu wobec Anglii nastąpiła w Niemczech od chwili, gdy kierownictwo spraw zagranicznych Rzeszy objął polityk, który sam pozostawał przez lat kilka na posterunku w Londynie i wytworzył tam sobie swoisty pogląd na politykę angielską. Pogląd ten znalazł wyraz w nowym kursie, który wywołał w Angli tak żywą reakcję. Jak doniósł onegdaj „Observer" p. v. Ribbentrop wysłał ostatnio do szeregu wybitnych osobistości ze świata politycznego Anglii listy prywatne, w których usiłuje rozwiać błędne jakoby pojmowanie przez Anglików zamierzeń i intencji polityki niemieckiej. Komentując ten fakt stwierdza „Observer", iż faktycznie Niemcy są dzisiaj „okrążone" i nazywa to największym cudem XX wieku. Przypisuje ten fakt moralny ślepocie Niemców w ujmowaniu rzeczywistości. Byłoby to więc w rozumieniu publicysty angielskiego coś w rodzaju stanu psychicznego, jaki starożytni Grecy określali mianem „ate".

Upojenie powodzeniem prowadzi w myśl tego poglądu greckiego do „hybris", do pewności siebie, lekceważącej wszystko i wszystkich i obudziło też w Niemczech mniemanie, a raczej przypuszczenie, że inne państwa i narody, przerażone wzrostem potęgi Niemiec ulegną tak dalece jej sugestii, iż np. jakieś zapytanie skierowane do nich przez Niemcy, wezmą od razu za nakaz, któremu nie miałoby sensu się przeciwstawiać."

WYDAWNICTWA NADESŁANE

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI. Polska nad Wisłą i Odrą w X w. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Katowice 1939. Str. 122 + 21 + 34 + 11 + 16.

KAROL MIARKA. Wybór pism. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Katowice 1939. Str. 261 + 39.

Die Internationale Gewerkschafts Bewegung. Styczeń—luty 1939. Nr. 1 — 2. Wydawnictwo Internationaler Gewerkschaftsbund. Paris.

ZBIGNIEW MIŁOBĘDZKI. Przemysł w województwie śląskim. Część II-ga. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Katowice 1939. Str. 34.

ZDZISŁAW WYŻNIKIEWICZ. Ubezpieczenia społeczne na Śląsku. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Katowice 1939. Str. 59.

ALFRED JESIONOWSKI. Problem polski na Śląsku w świetle nowszej beletrystyki niemieckiej. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Katowice 1939. Str. 98.

NUMER POPRZEDNI 11—12 ZAWIERA:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.